



---

# **XXII OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI**

**im. Mieczysława Stryjewskiego**

**Lębork, 30 listopada 2007 r.**



---

## **ORGANIZATORZY**

**Burmistrz Miasta Lęborka**

**Rada Miasta Lęborka**

Samorząd Powiatu Lęborskiego

Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana

Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie

Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku

## **KONKURS SFINANSOWAŁA**

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego

Samorządu Powiatu Lęborskiego

Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

Katolickiego Stowarzyszenie Civitas Christiana w Gdańsku

Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji

Farm Frites Poland SA



**Patronat honorowy:**

**MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO**

Patronat prasowy **DZIENNIK BAŁTYCKI**

*\* \* \**

*w oczach dalekie patrzenie  
zwykłe słowo  
niepokój  
dreszczem rąk  
otwieram nieznany świat  
jak ślepiec  
na oślepa  
na wzgórzach marzeń  
zdobynam  
nieosiągalne*

*Mieczysław Stryjewski*



---

## JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący  
Stanisław Janke  
Roman Pryl

## LAUREACI

*Nagroda Marszałka Województwa Pomorskiego*

**Kamil Gołaszewski** (Zawiercie)

### w kategorii poezji:

*I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka*

**Marcin Orliński** (Warszawa)

*II nagroda*

**Anna Krzemińska** (L i d z b a r k)

*III nagroda*

**Jerzy Fryckowski** (Dębica Kaszubska)

### w kategorii prozy:

*I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego*

**Tomasz Zdrojkowski** (Kleosin)

*II nagroda Przewodniczącej Rady Powiatu Lęborskiego*

**Katarzyna Emilia Gańko** (Mińsk Mazowiecki)

*III nagroda*

**Jan Skrodzki** (Brzeg Dolny)

### Nagrody specjalne

*Nagroda im. Józefa Majkowskiego Katolickiego Stowarzyszenia*

*Civitas Christiana w Gdańsku*

**Joanna Pisarska** (Białystok)

*Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego*

**Hanna Makurat** (Borzestowo)

*Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku*

**Elżbieta Bugajna** (Goręczyno)

*Nagroda Przewodniczącego Rady Miasta w Lęborku*

**Małgorzata Borzeszkowska** (Lębork)

## Zaręczki

*(...) niech drgnie twoje oko, jak śpiewa nasz ulubieniec, uważaj, zażyj  
kropki na żołądek albo ziółek się napij, albo zaśnij po prostu, śnij co  
bądź, byle twardo, bo myślę o tobie, bo opowiem o tobie teraz.  
Wojciech Kuczok, „Ttadzik”*

Tak, siedziałaś i patrzyłaś, obserwowałaś drgnienie każde, każde pieszczotliwe cienia po ścianie przebiegi i myślałaś sobie, że, ho ho, gdybyś ty była ścianą, a cieniem ktoś inny; kto by chciał patrzeć i widzieć, dotykać i czuć. I ty też patrzyłaś, ale przecież wiedziałaś, pewna byłaś raczej, pewna byłaś na pewno, jak mawia sąsiad spod tr(ach! te wszystkie...ujki)ójki, że to wszystko z jednego się wyłania, że cień to też rodzaj światła, że też nadzieja, a może jej permanentny brak, ale zawsze to samo; ściana i cień, z jednego się ta świetlna menażeria wywodzi, układ nierozzerwalny stanowi i ty też być możesz jak one, możesz ścianą jednocześnie być i cieniem, naprzemiennie formy pieszczące, pieszczotliwe przyjmować; możesz tak sama z siebie, z sobą, ale jakbyś była podwójna, dualna, no, bo przecież świadomość to jedno, a wyobraźnia drugie.

I robiłaś nieśmiało, jakby z pytajnikiem do opuszków przyklejonym, przesmyki palców po podstrunnicy ud, a później dalej, ochoczo, aż ci się kości śmiały, aż palce, ale już u nóg nawet, po kociemu przeżyły się w łuki triumfalne, szłaś w te gorącości swoje, w te wilgotności, które sama musiałaś osuszać, bo nikt nie chciał grać na tobie miłosnych pieśni, piosenek chociaż, a i ty wcale niechętnie nadstawiałaś swoje struny, swoje klawisze, klawiszunie najmniejsze i najdelikatniejsze. Pytałem, dlaczego, ale nie mówiłaś, chciałem odpowiedź wyciągnąć, wydestylować, wyssać (tu oponowałaś najbardziej) z ciebie, ale byłaś cicha, nie tym milczeniem wstydliwym, nie, raczej tym milczeniem wyniosłym jak milczenie pomników, jak milczenie nacokolnych bohaterów, którzy z pogardą patrzą na pałętających się, na biegnących, na idących, wpatrzonych i zapatrzonych.

I tak się zmieniałaś codziennie, cowieczornie przeistaczałaś; zmieniałaś w życiu pulsujący transformator, przeistaczający cię w ścianę(ach, jak miło biegnie, jak przebiega delikatnie, jak harfistka wprawna), a zaraz potem w cień(ach, jak miło jest biegać, tak przebiegać sobie delikatnie, być jak wprawna harfistka). Czułaś, jak nasiąkasz ciepłem (znów ściana), jak się obmywasz gorącymi falami (cień), w których się mogłaś pływać, nim się wynurzyłaś na dyszący i duszny brzeg *plateau*.

I tak każdego wieczora samotnego, tak każdego prześcieradła nocy na świat się rozpościerania, kiedy już słońce schodziło za margines horyzontu, a księżyc pyzată twarzą straszyl z granatowego nieba; powtarzałaś te rytuały, to wychodzenie z morza dreszczy, spomiędzy tych fal, opływających cię od wewnątrz (tak! wewnątrz w środku pomiędzy rozszerzonymi udami, uch! udami) i obmywających z tej zwierzęcości, która się w tobie odzywała i kazała to wszystko robić, drobić te krocunki przez palce twoje na tobie stawiane.

Ale robiłaś, bo musiałaś, bo trzeba było,  
bo ciało nie rozumie, że można być samotnym.

\*\*\*

I chodziłaś, i patrzyłaś na te parki w parku, na ich wczepienie, zespolenie, w usta wpojenie i języków muskanie, i próbowałaś sobie wmówić, że ty nigdy już, no, bo jak to tak przy ludziach, pokazywać-okazywać bezwstydnie, jakby im się przez te oczy senne, maślanie rozmarzone wylewała jakaś ekshibicjonistyczna żółć, wcześniej tajona, wcześniej ukrywana skrętnie, a teraz pod pretekstem takim, z kategorii świętych-boskich przecież, perwersyjnie realizowana.

Tak, patrzyłaś i siadałaś na ławkach, najczęściej naprzeciw, by ich móg z takiego szerokiego, bliskością niezaprzątanego planu obserwować i widzieć te wszystkie muśnięcia, te węzowe języków wnikania, to śliny interpersonalne mieszanie. Ale mówiłaś, że nie to było najgorsze, że twarz, że usta, że języczne stykania, zębów przypadkowe ze sobą zderzenia, to jeszcze nie to, co może być złego, nie to, co może boleć (chyba nie powiedziałaś: „boleć”, ale widziałem to w twoich oczach), nie to, co może za gardło ścisnąć, serce zrzucić z kostnego wieszaka i sprawić, że z głuchym łoskotem spada na żołądek.

Nie, nie to, mówiłaś. Bo przecież twarz każdy ma inną, inaczej się te wszystkie zmysłów rejestratory formują i układają, mówiłaś, bo przecież to twarz o indywidualności stanowi, tak, ona cię odróżnia, odzwierzęca. Więc nie twarz, bo ich twarze nie mogły być twoje.

Najgorsze, mówiłaś, są te ud przygodne odsłonięcia, bo ty też masz uda, które by się mogły odsłaniać, najgorsze, wspominałaś, są te palce po ciele wędrujące, jakby szukały punktu wartego dłuższego zaczepienia, bo przecież ty też je miałaś, i punkty i palce mogły być twoje, napomknęłaś też o oddechach, tych sapaniach ich nachalnych, ale pewnie przyjemnie ciepłych, wślizgujących się pod skórę, gdyby im się tak tylko chciało zachciało. Tak, mówiłaś, że najgorsze jest w tym wszystkim to, co uniwersal-



ne, unifikujące, u wszystkich prawie takie samo, zbliżające się do granicy identyczności (usłyszałem: „idiotyczności”, ale raczej nie to miałaś na myśli). I przecież nie rozsierdzało cię to dlatego, że mogłaś mieć nadzieję na, wiesz mam tam takiego jednego chodzimy sobie w różne miejsca i tak dalej, coś podobnego, bo nadzieja matkuje głupim, a ty głupia nie byłaś. Jeśli nie nadzieja, to zazdrość może, próbowałem dociec. Nie, zazdrość nie, bo jeśli zazdrość, to zaraz potem zawiść, a to zupełnie nie w poetyce twojego sumienia. Więc co, pytałem, ale nie chciałaś powiedzieć.

I wstawałaś, już nie patrzyłaś, już szłaś dalej, gdy się do czegoś więcej poczęli zabierać w maskujących zakamarach, gdy się parki poczynały w parku parzyć, szłaś i wychodziłaś spod tej drzewiastej ochrony, na świat wychodziłaś i to właśnie świata szczerłość cię chyba najbardziej bolała, jego realistyczność (jak z hemingleja, dodałem; dawał ci świat wszystko, pokazywał, ale złośliwie nie chciał skomentować, zinterpretować, dokreślić, żeby nie zabić tej niepewności, której chłód ci przemyślnie wtłaczał w żyły).

Widziałaś te wszystkie, te inne (tak, wykrzywiłaś twarz w grymasie, chyba obrzydzenia) kobiety; ich wyperfumowanie(wywąchwane, zapamiętywane) wywoływało w tobie duszności, ich obcasików stukstukstukstukiwanie(wysłuchiwane, upragnione) wdzierało ci się do mózgu i tam wściekle rykoszetowało, ich łydek(głaskanych) rzeźbienie dłutem odwiecznego Artysty, łydek(pieszczonych) pończoszne opatulenie, włosów(całowanych, rozplatanych) napowietrzne falowanie oddech ci z płuc wykładało, piersi-pośladków(gładzonych, dotykanych) kragłe i opływowe ubrania formowanie spadało na ciebie tak nagle, że na oczy zsuwała ci się ciemna kurtyna niedowierzania.

Już nie szłaś, już biegłaś, byle szybciej, byle dalej, w ciemną, w nieuczęszczaną, żeby cię nikt i nic, gdzie się mogłaś zatrzymać, oddech złapać, purpurę rozpalonych policzków pudrem ugasić, odpiąć guzik podszyjny i pełną piersią wyzwalając się z tego, co gdzieś tam, gdzieś w środku, w środeczku próbowało się uwolnić, próbowało dać ci jakiś znak, że może już, że może teraz czas najwyższy pozwolić na to całe wysłuchiwanie, upragnienie, głaskanie, pieszczenie, całowanie, rozplatanie, gładzenie i dotykane. I pozwoliłaś dłoni odbyć nerwową wędrówkę po szlakach wrażliwych, delikatnych, po szlakach reagujących i reakcje wyzwalających w tobie drżące, gorące i gorejące, i czułaś kropelki potu, które się nad górną wargą kumulowały, kibicowały ci w tym samospelnieniu nagłym, niespodziewanym. Ale przerwałaś, nim się dłoń do końca swej wędrówki cieleśnej, zmysłowej, empirycznej zbliżyła, bo ci się w głowie myśli jakieś koła-

tały, że ty nie, że ty nie będziesz, że przecież nie o to ci chodzi, że nie tobie to głaskanie całowanie jest pisane, może nie tyle pisane, co ty sama go sobie nie zapisałaś, powiedziałaś, że nie dla ciebie instynkty, że to wcale nie tak jak „nie dla psa kielbasa”, bo ty nie chcesz, nie możesz, nie będziesz miała ochoty, nie, jak człowiek będziesz myślała, będziesz jak człowiek działała i że jak już to w ostateczności, kiedy cię to całe „od czasu do czasu” zacznie przytłaczać brakiem, pustki napięciem i zwierzęcością w tobie wyzwoli.

I teraz już wiem, dlaczego nie mogłaś patrzeć na te parkowe przyłgnięcia, na te kobiece z pracy zakupów koleżanek do domu przebiegi. Tak, teraz już wiem.

Pustka, świadomość pustki, braku świadomość była dla ciebie najgorsza. Nie nadzieja, że kiedyś coś, nie zazdrość, że oni tak, a ty nie. Nie, nic z tych rzeczy. Kiedy patrzyłaś, czułaś dogłębnie, do głębi twojej najskrytszej te obrazy wdzierające się, kuszące, nęcące, które ci mówiły, że ty nie masz do kogo wracać z pracy zakupów koleżanek, że do ciebie nikt nie przyłgnie, że do odsłonięć przygodnych, śliny wymiany, warg miękkości badania nie poprowadzi i nie doprowadzi. To świadomość pustki, była najgorsza, świadomość próżni, z której ktoś odessał emocje, ciało sprężenia i wyprężenia. Tak, teraz już wiem.

I gdy się już otrząsnęłaś, gdy się do ładu-składu doprowadziłaś, gdy znów zimna byłaś i wyniosła, jak przecież tylko tobie przystało, jak się tylko tobie przez przypadek stało, to szłaś dalej, znów spokojnie, znów z cichym i nienarzucającym się stukaniem (już spokój ma być żadnych mi tu stukstukstukstukań nieskoordynowanych-rozنامiętnionych już spokój i wyprężenie). Szłaś przy murze zimnym, betonowym, bez czucia i prawa do głosu, i pozwalalaś, by się po jego tarce raniącej ślizgała twoja pięść zwinięta tak, jak ty sama się zwijałaś, zawijałaś w koldrę, szczelną i chłonną, opatulalaś. I nie czułaś, że się skóra zdziera, że kości bielmo, czerwienią skropione odsłania (też przygodnie, też nieświadomie, jak uch! ud odsłonięcia nieme, ślepe i głuche). Bólu też nie było, ból też cię żałował i nie chciał się pojawić, a może za nic cię miał, może też mu byłaś zwyczajnie obojętna. I szłaś tak, raniąc się, żeby coś czuć, żeby chociaż ten ból, mówiłaś, się pojawił, żeby cię czymś zaskoczył, pobudził neurony i inne tamte, ale nie, nawet on nie chciał udowodnić ci, że żyjesz i czuć możesz, i czucie to pełne być może, i możesz czuć na własną skórę, na własne oczy widzieć, na własne nogi biegać w poszukiwaniu źródeł nowych.

Ale nie, nawet bólu nie było, nawet łza, mówiłaś, chociażby jedna, chociażby słona perlistość jak ty samotna, nie chciała się pojawić.

Więc do niej pójde, mówiłaś i zaraz potem szłaś, kroku przyspieszając nieznacznie, żeby szybciej, żeby już, ale jednocześnie spokojnie-normalnie, powiedziałaś, żeby cię nikt przypadkiem, bo co by to było, znów by się sąsiad spod trójki wypytał, dowiadywał, pytania zadawał, językiem mielil(och!), molestował oralnie(och! och ooch!), że co to pani tak biegła, dokąd, a może do kogoś(zboczeniec stary, pomyślałabyś). I byłaś na miejscu, nim spostrzec mogłaś, bo ci myśli świadomość przysiadły, patrzyłaś na tę szarą kamienność, na tę pionową statyczność, na litery czarne tłoczone dłońmi(męskimi och!), które zamykały ją(mamusi! mamusi!) w tym bezlitosnym od-do, jakby była dla ciebie tylko jak z formularza, z metryki, z inwentarza miejskiego dusz wyimkiem, i nawet zdjęcia nie było, żebyś sobie mogła przypomnieć jej oczy, ich spojrzenie, które ci pamięć w swym magazynie systematycznie wciskała na półkę zapomnienia. I pytałaś, mamusi, dlaczego, pytałaś.

I pytałaś, bo musiałaś, bo trzeba było, bo nie mogłaś zrozumieć, dlaczego ciało nie chce wiedzieć, czym jest samotność.

\*\*\*

Infantyliaś jakieś, mówiła ci matka, gdy biegałaś za pieskami-kotkami, a twoje koleżanki (mamo, nie koleżanki, to nie moje koleżanki są) pozwalały, by (jak nie koleżanki to kto żadnych nie masz z nikim nigdzie) się w tych odsłonięciach (rówieśniczki rówieśnice właściwie), które później poczęłaś przygodnymi nazywać, kobiecość-dojrzałość rodziła, pozwalały na zębów stryśnięcia, na dłoń dłońią nieśmiało przykrycia. W twoim wieku ja się już malowałam, mówiła ci matka, (ale mnie malowania-przebierania żadnego nie potrzeba), a przecież teraz wszystko-wszyscy szybciej i wcześniej, a z tobą co.

Ale ty nie, mówiłaś, ty wołałaś spojrzenia ufne, spojrzenia przedspacerne i te zaraz po parkowych dreptaninach sześcionożnych, bo twoich dwie a jego (och! ta końcówka teraz ci się taka męska wydaje, nie żeńska, nie nijaka) nóg cztery. I pamiętałaś o tym, by nie dotykać za wiele, by do żadnych sierści w palce zaplątań nie doprowadzić, żadnych pomruków, żadnych warczeń rozprzyjemnionych i wdzięcznych.

Nie, miłość tak, miłość owszem, ale nie miłość zwierzęca, nie dotykowa-zmysłowa prostacko jak instynkta każą, mówiłaś sobie, gdy wieczorne swoich włosów rozczesywanie zaczynałaś i nawet nie próbowałaś myśleć o tym, że w tych włosach, że wokół i na wskroś mógłby się wzrok jakiś zaplątać, zapałętać i sobie na szarej korze wyobraźni jakieś obrazy z tobą w roli głównej wyświetlać. Nie, mówiłaś sobie, nie pozwolisz na to, bo prze-

cież tak nie wolno, przecież to nie ludzkie jest, to zwierzęce jest, zezwierzęcone, niskie, a człowiek zawsze ku temu co wysokie, co się pnie, co pienne jest i ku wyżynom wznieść się pomaga.

I za nic miałaś te śmiechy osiedlowe, te z ławek przysiadywanych sygnały kpiące w twoją stronę wysyłane, gdy przechodziłaś obok nich (nich!?, mówiłaś, one nawet zaimka niegodne żadnego najmniejszego i mniszego w swej sylabowej i znaczeniowej ascetyczności) i czułaś spomiędzy ud ich płciowość w powietrzu wyzywająco pełgającą, czekającą na to, kiedy w jej gęstość wpadnie jakiś kolejny rozbuchany buchaj swym pęczniącym gorącym buchający.

I szłaś z nim do parku, dreptaliście tak sobie zupełnie niewinnie, zupełnie przed siebie; szłaś z nim do parku, ale nie po to, by wypatrywać, by się samobiczować, autokrzyżować tym widokiem, który cię później trwożył, zatrząsał i odrażał. Nie, mówiłaś, to były jeszcze spacerunki niezobowiązujące, tylko takie chodzenie sobie bezcelowe dla samego kości, mięśni i skóry przewietrzenia, a w jego przypadku, to i kiszek nawet. Tak, to było takie noga-za-noga, lapidarne byle-by-coś. Wtedy nie przypuszczałaś, nie próbowałaś nawet pod obróbkę świadomości dopuszczać, że on też jest zwierzęcy i że, ho ho, w jego wypadku ta zwierzęcość dojmująca jest i dominująca.

Ale on to nie ja, mówiłaś później, on to sierść, on to spomiędzy zębów śliny skapywanie w poszukiwaniu mięsnych ochłapów, organicznych preludów do prawdziwej uczty, z miski (misy bardziej, powiedziałaś) zwierzęcego-zachłannego wchłaniania.

I przysła na nieszczęście twoje wiosna, dzień się wdzierał świergotem, dzień się rzeźkością przez okna wsączał i spływał na wszystkich, wszystkich tulił, ścisnął, całował, (ciamkał, ślimtał, smarkał, gulgotał, pluł i charczał, powiedziałaś) jakby chciał im powiedzieć, że to już, że teraz, że czas, że najwyższy, że już biały kurz zimy strzepnięty. Na niego też spadło to czasu trzęsienie, te powietrzne podrygi, te zapachów nowych, zapachów świeżych dywanowe latania, w jego sierść też się wkręciły, też opłotły i opatuliły wszystkie te zachwyty, te szepty radosne i go coraz częściej na parkowe, uliczne, osiedlowe dreptania wiodły. A ty zaciskałaś zęby, powieki mrużyłaś i próbowałaś sobie wmówić, że nic się nie dzieje, że porządek przez ciebie ustalony panuje nadal i że ci się nikt lub nic w szeregi twoje nie próbuje z entropią wśliznąć. Ale okazało się, że to był prawdziwy wiosenny big bang, to było wszystkich kwarków, mionów wiosennych nagłe skolidowanie, aż się stała i powstała wiosenna prajednia, monada wiosenna i się do wszystkich poczęła łączyć, łączyć i o łydki ocierać tak, aż się na

nich włosy, włoski wszystkie elektrostatycznie unosiły, wzwodziły (och!). On też chodził z sierścią jakoś tak dziwnie zjeżoną, mówiłaś, chodził i węszył, i szukał, jakby chciał znaleźć to, co w nim od dawna tkwiło, jakby mu był potrzebny, ten jeden-jedyny klucz, który by go otworzył i uświadomił *co i dlaczego*.

To się właśnie w taki dzień zdarzyło, powiedziałaś, w dzień nieba rozniebieszczonego i chmur, który nie chcą na nim drzemać. Szłaś z nim, smycz odpięta (bo jego głos tylko trochę bardziej nabrzmiały, tylko trochę mocniej sierść szarpnięta potrafiły przyglaskać do porządku) z dłoni ci zwiślała, a on spokojnie kroczył (złe słowo, złe słowo!) przy twoim boku, dostojnie, apodyktycznie, jak ty sama. I nagle. Tak, tylko *nagle* jest tutaj odpowiednie; *nagle* się ślizga po języku, *nagle* trudno na wodzy utrzymać.

Tak, nagle pobiegł, przed siebie i do niewiadomokąd. Biegł, widziałaś jak mu mięśnie na łydkach grają coś z petrarkowskiego rytmu zaśpiewem, że mu trącają jakieś struny najgłębsze, najszczelniej opatulone i skryte. Chciałaś za nim, po niego, ale cię to nagle przyspawało, przyśrubowało, przymurowało cię to jego ze smyczy niewidzialnej się zerwanie bez twojej woli, takie spontaniczne, spokoju pozbawione i z wyniosłości wszelkiej, a koniecznej odarte.

Ale w końcu i ty bieć zaczęłaś, powiedziałaś, musiałaś bieć, musiałaś go uchronić przed tym, co już na tym parkowym horyzoncie ci w oddali zamajaczyło. Biegłaś i czułaś, jak ci się wiatr wdziera pod sukienkę odpowiednio długą i maskującą, czułaś, jak ci się ociera o uda, jak łydki poczytna gładzić, tym łapczywiej, im się bieg twój wzmagal, jak zwiększa tempo tych pieszczot przypadkowych, jak się nienasycony staje i coraz wyżej, wyżej, gdy ty się w biegu coraz bardziej zachłanna stawałaś.

Ale on był szybszy od ciebie, powiedziałaś, już się o kilkanaście cnotobójczych metrów od ciebie oddalił, już ci pierzchał nieoczekiwanie, już się mienić w rozgrzanym powietrzu poczynał.

Ty jednak nie chciałaś zwalniać, powiedziałaś, bo wciąż jeszcze wierzyłaś, że ci się uda, że nie pozwolisz na to, by twój tak tutaj, w parku, przy wszystkich dzieciach matkach starszuchach i ich wzrokach zawstydzonych, unikających, ślizgających się po ścieżce tylko po to, żeby nie patrzeć i nie widzieć. Ale on już jej dopadł (ofiary swojej, powiedziałaś), już się wspiał na tylne łapy, tak niezdarnie, groteskowo, jak początkujący szczudlarz, a przednimi (przed nimi wszystkimi, dodałaś) objął ją w pasie, i poddał się temu synkopowemu rytmowi, tym ruchom free-jazzowym, tym warknięciom improwizowanym. I zaraz zbiegła się dzieciarnia, zignorowała jakąś starszą spierdelaj nie wtrącaj się najwyższy powiedział kobietę, i zaraz w

krzyk, zaraz w wycie dziecięcego odkrywania, że patrzój psy się dupcą patrzój psy się dupcą, chociaż pewnie najmłodszy z nich nie byli zbyt pewni tego, co się z ich gardel jeszcze niewinnych, a już brukających się, dobywa.

A ty biegłaś, powiedziałaś, i czułaś, że ci świat przed oczyma ciemnieje, bo wiatr, (och!) wiatr był wokół ciebie, obok ciebie, na tobie i w tobie. Tak, czułaś, jak poczynął gmerać niewidzialnymi palcami w tych bawełnianościach, którymi się szczelnie opatulaaś każdego ranka i każdego wieczora, każdego nocnego do łóżka (złe słowo złe skojarzenia) wślizgiwania (złe skojarzenia złe złe), żeby czasem nic ci do głowy zdrożnego pod osłoną ciemną, która śmiałość prowokuje, nie przyszło. A teraz on, powiedziałaś, tak bezwstydnie zdzierał, zeszkrobywał, ścigał, zdrapywał i mierzwil na tobie ten wstyd, to wstydlive ud do siebie przyłgnięcie niwelował. I czułaś, że już jest, że już odchylił rąbek bawełnianych, białych, pełnych i okrywających, i że się wślizgnął, wniknął, że się w gorącu pławi i tobie nowego (gdzieś w okolicach podbrzusznym, mówiłaś, gdzieś w stężonych warg rozchyleniu, mówiłaś, gdzieś w piersiach wzrastających, rozpychających to brzemie wiktoriańskie, którym się opasywałaś, żeby czasem nikt i żeby nic spod bluzki, dekoltu wysokiego uchylen) gorąca dostarcza, które się po ciebie całym rozlewa, które cię w drzenie tak przyjemnie wprawia. I biegłaś, mówiłaś, biegłaś i czułaś, jak ci ciało goreje, jak się mięśnie napinają i rozluźniają, jak się w dołeczkach lędźwiowych ambrozja potu gromadzi. A kiedy już byłaś blisko-bliisko niego, nich właściwe, powiedziałaś, musiałaś paść na kolana, uklęknąć musiałaś (znów skojarzenia niedobre, odgonić, natychmiast odgonić proszę!), bo cię ten skurcz ostateczny dopadł, ten skurcz jedyny i najwartościowszy, gdy ci przed oczyma przebiegają obrazy, gdy melodie słyszysz już zapomniane, gdy się kości śmieją i śpiewają, musiałaś, powiedziałaś, musiałaś uklęknąć, bo to było najświętsze uczucie, jakiego kiedykolwiek ci przyszło doświadczyć, myślałaś, że to iluminacja sortu najprzedniejszego, że to już, że zaraz się niebo przetnie i spłynie na ciebie światłość boska, bo przecież po czymś takim, to już tylko na łonie abrahamowym można spocząć.

Ale nic takiego się nie stało (tak, odszedł, samą cię zostawił z głową wklejoną w powietrzną poduszkę), powiedziałaś, nic się nie stało, słyszałaś tylko, jakby z oddali, płynące-biegnące głosy dziecięce, patrzój pooglundać se przyszła patrzój jako zboczuna, tak, mówiły o tobie, która nigdy nic, jak pan bóg i pani katechetka (pamiętajcie dzieci że się od tego nie rośnie tacy mali małe zostanieie jak teraz tak tak gorzej niż papierosy gorzej a jest taki święty idzi, który wszystkie grzechy...) przykazali, której przez głowę myśl świadomość nic podobnego nie próbowało przejść,

przecisnąć się. Tak, powiedziałaś, to był ten impuls, który ci kazał, rozkazał zaraz, w tej chwili jedynej wstać, otrząsnąć się i o swych świętych-boskich przymiotach zapomnieć. Podeszłaś do niego i próbowałaś go z niej zdjąć, mówiłaś, złapałaś za sierść, pociągnęłaś, ale on jeszcze mocniej przywarł, warknął coś niezrozumiale, jeszcze mocniej się łapami uczepił i puścić nie chciał, więc za obrozę, powiedziałaś, musiałaś chwycić, poddusić go musiałaś, żeby przestał się tej żądzy czarnej-najczarniejszej oddawać, tak, mówiłaś, musiałaś mu zagrozić, musiałaś mu uświadomić, że może życiem zapłacić, że je stracić może bezpowrotnie, gdy jeszcze raz będzie próbował, gdy się jeszcze raz podda i odda. I poszłaś z nim, powiedziałaś, najszybciej jak wtedy mogłaś, bo w nogach miękkich wciąż wspomnienia jeszcze nerwowo pełgały, wciąż ci mówiły, że może by tak jeszcze wiatr jeszcze raz a cóż ci to szkodzi, poszłaś i zaraz trafiłaś do tego miejsca, gdzie pełno było takich jak on, gdzie się rozdzwaniały ich żądzą te klatki klekoczące metaliczne, gdzie się w oczach pod smutkiem udawanym prawdziwa zwierzęcość czaiła. I zostawiłaś go, powiedziałaś, zostawiłaś nie dlatego, że zrobił to, co ci nawet przez głowę myśl świadomość przejść nie próbowało, ale dlatego, że cię one, ta dzieciarnia, gówniażeria zdemaskowała, że wiedziała, co ci się przez wiatr przydarzyło, tak, że cię oskarżyli i to całkiem słusznie. I zostawiłaś go, na zawsze, na trwałe już.

I pytałaś, bo musiałaś, bo trzeba było,  
bo nie mogłaś zrozumieć, dlaczego się znów na samotność skazałaś.

\*\*\*

Tak, siedziałaś i patrzyłaś, obserwowałaś drgnienie każde, każde pieszczotliwe cienia po ścianie przebiegi i myślałaś sobie, że, ho ho, gdybyś ty była ścianą, a cieniem ktoś inny; kto by chciał patrzeć i widzieć, dotykać i czuć. I ty też patrzyłaś, ale przecież wiedziałaś, pewna byłaś raczej, pewna byłaś na pewno, jak mawia sąsiad spod tr(ach! te wszystkie...ujki)ójki, że to wszystko z jednego się wyłania, że cień to też rodzaj światła.

Tak, światło stało się dla ciebie najważniejsze, mówiłaś, światło ci zapewniło dotyk bezdotykowy, światło całowało cię bezustnie, światło ci do ucha miłosne epifanie szeptało bezoddechowo, światło kładło się na tobie bezcieleśnie, światło przygniatało i wgniatało cię bezboleśnie, a z przyjemnością największą z wielkich.

Tak, wszystko przyszło z wiatrem, wiatr do ciebie przepędził te wszystkie uczucia i odczucia, tą iluminacją parkową objawił ci, że możesz tak sama z sobą, z siebie, w sobie bez ingerencji z jakiegokolwiek niechciane-

go zewnątrz. Powiedział ci wiatr, mówiłaś, zawył do ciebie tego popołudnia parkowego o tym, że możesz czerpać z tego, co nienamacalne i nie macające, z tego, co do ciebie podejdzie z muzealną dystynkcją, ostrożnością, co sobą obleje, co się w ciebie wleje, ale przypadkiem pełnym, jakbyś, ot, stała przy drodze i czekała, aż cię ktoś przygodnie napotka.

Więc wyczekiwałaś, powiedziałaś, tych chwil, w których się światło z cieniem poczęło ślizgać po ścianie, kiedy się pierwsze cętki świetliste na ścianie wyświekliły, i wtedy podchodziłaś, wtedy szlafrok z siebie zrzuciłaś, bo wiedziałaś, że tylko tak możesz w pełni odczuć to, na co czekałaś, to, co na ciebie czekało. I stałaś tak, ręce unosiłaś, odwracałaś się twarzą do tej ściany, powiedziałaś, później znowu plecami, a światło, ho ho, światło rozpoczynało swą projekcję, rzucało na ciebie obrazy najwymyślniejsze, takie, których by nikt z siebie nie wycisnął i na tobie, w każdym twoim zakamarku najskrytszym nie potrafił rozsmarować, rozprowadzić, rozprzeździć.

A światło, tak, światło mogło wszystko, powiedziałaś, wysłuchiwało (gdy szeptałaś), pragnęło (gdy pozwalałaś), głaskało pieściło całowało rozplatało gładziło i dotykało cały czas, bez żadnych zająknięć niemrawych, bez żadnych sprzeciwów niewdzięcznych, bez żadnych zadyszek-zasapań zmęczonych. Tak, światło jak wiatr parkowy, powiedziałaś, te same uczucia-odczucia w tobie wyzwalało, choć może i bardziej było subtelne, może bardziej nieśmiałe, może najpierw pytało, może najpierw jednym palcem miodowym sinusoidy kreśliło, nim dłonie, usta i cały swój arsenał złocisty do gry włączyło.

A później przyszły one, powiedziałaś, tak, przyszły te zajączki, za którymi już w dziecięctwie swoim oczyma wodziłaś, gdy je lustro w ojcowskiej ręce ukryte na ścianę rzucało.

Tak, przyszły te refleksy, mówiłaś, przyszły te srebrzyste ostrza, te klingi biegające, te klingi rozbiegane na twoim ciele, jakby ktoś cię gładził najwartościowszym koh-i-noorem. I czekałaś na nie, mówiłaś, czekałaś w napięciu, przez napięcie otoczona i przytłoczona, aż się pojawia, a gdy już były, gdy się srebrzyć poczynała ściana, to wtedy znów szlafrok z ramion zsunięty, to wtedy znów szlafrok na podłogę upadający, znów ty przy ścianie, a później coraz bliżej, coraz bliżej do źródeł zajączkowych, do okna, do okna otwieranego i zaraz otwartego. I wtedy powietrze, mówiłaś, jakie tam zresztą powietrze, wiatr (och!), znów wiatr na tobie poczynał błędzić, znów cię obwąchał i zaraz potem zaczynał to, co ci zrobił w parku, (och!), bo już cię znał, bo już mu tylko zapach twój wystarczył, by się domyślił *co, jak i dlaczego*.



I obmywał cię całą, oblewał cię, szałowywał z ciebie to wszystko, co się w oczekiwaniu na tobie zgromadziło. I znów było jak w parku, powiedziałaś, nie, było jeszcze lepiej, jeszcze wznioślej i donioślej, bo przecież zajaczki, bo przecież one razem z wiatrem skoligacone, zsolidaryzowanie się po tobie ślizgały. (I znów wilgotne ognisko się w zonie podbrzusza rozpałało, znów serce ci piersi rozpychało, sprawiając, że im skóry wciąż było mało, i znów kropelki potu nad balkonem ust, znów skóra w gęsie desenie przyobleczona, znów włoski na karku elektrostatycznie uniesione, znów dziurki pokolczykowe w uszach rozszerzone, znów palce u nóg w łuki się formujące, znów oddech rwany i drżeniem przerywany, znów znów znów...).

Tak, mówiłaś, zajaczki były tym, co ci się mogło najlepszego przytrafić, i nieważne jest to, że one płynęły, powiedziałaś, z tej wieży budynku ceglanoego, z tej wieży, która znad murów wystrzelała, i nieważne było to, że je wysyłała ręką, która mogła kiedyś zabić, zgwałcić (a teraz jej pewnie samogwałt grzeszny tylko pozostał, dodałaś, tam sami mężczyźni przecież, zamknięci odizolowani, i przecież...nie, to nie możliwe jest, żeby oni, żeby razem, żeby ze sobą, przestań przestań, po co ty, o czym ty), uderzyć, ukraść, udusić-poddusić i wszystko inne, przez co się można za murami Hebronu znaleźć.

Dawał ci znak, mówiłem, on dawał ci znak, żebyś przyszła, żebyś się na miękkim widzeniu zjawiła i jego miękkość przegoniła, żebyś go wzrokiem, słowami, dotykiem (och! dotykiem) utwierdziła w tym, że on na myśl o tobie może się przez utwierdzenie skutecznie utwardzić i nocną samotność przegonić. Ale ty nie wierzyłaś, ty wierzyć nie chciałaś (o czym ty, po co ty, na jaki gryps mam czekać, co to gryps w ogóle jest), tobie wystarczyły one, to ich wyczekiwałaś, to dla nich otwierałaś okno i nawoływałaś, i pozwalałaś, by na tobie, po tobie i w tobie. Ach, mówiłaś, ach, wreszcie znalazłam to, czego szukałam, to, czego szukałam w tym, czego widzieć nie chciałam, co mnie widokiem swoim przestraszało i przerażało. Tak, wreszcie odnalazłaś antysamotność, która ci pozwoliła zapomnieć o wszystkim, co nie powinno podkradać dnia, chwil tych cennych, tak, antysamotność pozwoliła ci zapomnieć o czasie, o przestrzeni i cię straciła w antyczas i antyprzestrzeń, poza którymi nie istniała dla ciebie żadna inna rzeczywistość warta zauważenia i odnotowania. Tak, teraz nie liczyłaś czasu, teraz systematycznie i z cierpliwością coraz bardziej niksująca czas odliczałaś, przyglądałaś się każdemu ziarenku opadającemu, jakby zanurzonego w jakieś zawieszynie wystosowanej na otępienie kinematyki i dynamiki, przyglądałaś się tym ziarenkom wszystkim, odliczałaś je i wtedy się zjawiały. Zjawiały się. One. Zajaczki.

A później na nieszczęście twoje przyszła zima, szyby szronem poszarzały, okna się wszystkie zamknęły, a słońce chmur grafitem otłuściło. Wtedy się wszystko zaczęło, powiedziałaś, wtedy zaczęły pojawiać się coraz rzadziej, wtedy tylko raz na jeden, no, może dwa tygodnie do ciebie przychodziły, a i ty okno z coraz większą niechęcią otwierałaś, bo płucne zapalenie już się do powietrza przytuliło i tylko czekało na to kiedy i kogo.

Tak, minał miesiąc, powiedziałaś, a ich wciąż nie było, i wtedy, gdy już porzuciłaś wszelkie nadzieje (nie, nie nadzieje, bo nadzieja matkuje głupim, a ty głupia nie byłaś), kiedy sobie wmówiłaś, że nigdy już, pojawiły się, przyszły, spłynęły, przyleciały do ciebie. Już na początku zobaczyłaś, kiedy ci się tylko wzrok do nich przykleił, kiedy w pierwszy zachwytny popadłaś, że są jakieś inne, że jakby wyblakły, zmizerniały biedniutki, mówiłaś. I znów rytuał ten sam, znów szlafrok, okno, wiatr, a później...Później się zajączki z ciebie ześlizgnęły, później się z ciała twego wymeldowały, i nagle po ramie okiennej, nagle na parapet i zaraz w dół po ścianie mrozem wysrebrzonej, jakby ci drogę wskazywały, jakby ci mówiły chodź chodź za nami no cóż ci to szkodzi, później znów się na górę, bliżej okna wróciły, sprawdzały, czy za nimi ruszasz, czy rozpoczynasz eskapadę miłosną w poniżej zera, w śnieg, w lód, czy wstępujesz z nimi w ten wieczny, w ten „już na zawsze” związek dialektyczny. Wahalaś się, powiedziałaś, zastanawiałaś, myślałaś, rozważałaś, a później stwierdziłaś, że tak, że warto, że pójdziesz. I mówiłaś weźcie zajączki weźcie mnie za rączki, weźcie mnie zarączki weźcie mnie za jączki, weźcie mnie, weźcie mnie, zarączki. I wzięły cię zarączki za jączki, i poszłaś. Poszłaś. Za nimi. Za zarączkami.

A później? Później ludzie powiedzieli, że leżałaś tam, w śniegu, w lodzie, w poniżej zera, leżałaś tam, splugawiona przez grawitację.

A później? Później mężczyzna z domu pogrzebowego powiedział, że się uśmiechnęłaś, nim cię workiem, workiem czarnym i plastikowym, szczelnie otulił. A później? Później przyszłaś do mnie i zapytałaś, czy to może od nas, z celi naszej wybiegały do ciebie zarączki. I odpowiedziałem ci, od niechcenia, tak mi się tutaj głos kobiecy wydał absurdalny, tak niemożliwy, tak nierealny, odpowiedziałem ci tak *byleby*, tak *daj-mi-spokój*, że nie, że to nie od nas.

A później? Później znowu mi się objawiłaś, przez ścianę przenikając, przez ścianę przechodząc, jakby jej nie było, jakby nagle forma i materia wszelką wartość utraciły, jakbyś je ledwym skinieniem palca mogła zdevaluować. Nikt ci nie odpowiedział, mówiłaś, nikt cię nie wysłuchał, nikt nie zauważył, więc przyszłaś tu z powrotem, bo tylko ja się do ciebie odważyłem odezwać, bo tylko ja potrafiłem cię zobaczyć, bo tylko ja chciałem cię sobie wymyślić. I opowiedziałaś mi wszystko, tak, jak było, jak ci się przez przypadek stało.

A później? Później poszłaś, później mi zniknęłaś, żeby, powiedziałaś, ich szukać. Szukać. Ich. Zarączków. I czułem, jak lusterko, skryte w wewnętrznej kieszeni, rani mi serce. I nie było krwi, nie było szkarłatnej

\* \* \*

Brudny, jesienny poranek. Wtorek? Niech będzie. Nabrzmiałe od asfaltu żądła dnia pulsują, jak gdyby miała nastąpić eksplozja. Kiedy mijam zwłoki ślimaków, sól zaczyna szczypać w stopy. Środa? To zawsze bliżej weekendu. Drzewa jeszcze rosną wzdłuż mokrej alejki, ale najwyraźniej ktoś zmienił ich kolejność. Rzeka

wpada

do oceanu. Pomiędzy blokami różowe niebo po raz ostatni pokazuje pępek. Pstryk, pstryk. W ten sposób niszczy się i powołuje do życia nowe panele sterowania. Po wejściu do firmy zapalam lampkę na biurku – drewno natychmiast zamienia się w piasek. Zwinięty między skrzynią komputera a ścianą wsłuchuję się w swój nierówny oddech. Tam, niżej, w okolicy śmietnika, tuż nad wykładziną słysząc odgłosy Loch Ness,

kontakt, dwieście dwadzieścia wolt.

*Marcin Orlński*

---

\* \* \*

Czas można pić duszkiem, do dna. Na zdrowie,  
na oślep. Stosy dokumentów i klasery, które  
przypominają o przezroczystości przedmiotów.

Ale słuchaj dalej: polny konik skacze do gardła  
nawet najbardziej krnąbrnemu z chłopców, którym  
kiedyś byłem. Leją się po mordach bohaterowie i komandosi,  
prawdziwi i bezwzględni American killers. Dlaczego  
po latach, kiedy byłem kimś, prawdziwym nikim,  
gnojem z 7c, pozostał tylko rząd  
klepsydr? Oszukał nas Pan, panie  
Freud. *Die Freude ist beendet.*

\* \* \*

„Die Freude ist nicht beendet“, mówi mój książkowy  
przyjaciel. Do boju, moi wszyscy książkowi  
bracia, moje siostry, książkowe mole, motyle!  
Świat zaczyna się w skrzynce na listy, w podwyżce  
cen prądu, w siatkach z zakupami, które wbijają się  
w palce. Dalej,

dalej, do boju! Z maczetą na meczet, z wiarą,  
że punkt kulminacyjny jeszcze nie nastąpił.  
Z przekonaniem, że jutro nie trzeba już będzie  
ogryzać paznokci, ale śmiać się do bólu, parskać

jak stado koni na niezmiernym haju. *Credo ad  
absurdum*: miejsce po człowieku zmienia się  
w plac budowy.

\* \* \*

Październik. Popołudnia są coraz krótsze, coraz wolniej płynie krew w rynsztokach Efezu i mięśni nie rozsadza już magnez.

„Spójrz w dół, w ten niezmierny kalejdoskop, w który powoli spadasz”, mówi mój książkowy ojciec. Wiem –

– *vide* –

całe pokolenia pracowały na kształt tej planety, na krótki moment wątpliwej satysfakcji, która powoli zaciska się na gardle mumii.

Listopad. Nie bać się umierania? Ze śmiercią minąć się w drzwiach? „Gówno prawda”, mówi mój książkowy przyjaciel, „żywych nas nie dostaną!”.

*Anna Krzemińska*

---

### **Spowiedź Dantego**

liryka ze mnie opadła  
w czerwcowo-słoneczny  
nowo-wieczór  
gdzie tylko spadające meteory dawały znak  
w kosmosie wciąż rysy twojej twarzy  
kontury ust  
tak bardzo teraz przezroczystych

może jesteś teraz  
w lupince wiersza nie z tego świata  
jeszcze dzisiaj spiekłem  
usypiającemu  
żeby nie utonął w tych przestrzeniach jak ty  
Beatrycze moja Beatrycze

wciąż pytam dlaczego i dlaczego  
ono wciąż milczy coraz pełniej milczy

w mojej niezapisanej księdze  
poruszać możesz biodrami  
w niej też zmartwychwstają anioły  
i nie płacę już wcale  
spaliłem tylko wszystkie poezje

powołanie  
zakopano zatrzaśnięto odrzucono  
zamknięto je hebanowej trumnie  
ciemnej skóry ogarniętej przez noc  
Beatrycze  
Beatrycze  
wołam do ciebie z przestrzeni

mówiono mi  
mówią mi wciąż  
liryka nie umiera  
ja wiem że przygasa  
osuwają się tylko

w bezdenne przepaście i czeluście piekła  
w sam środek wraz ze mną  
Beatrycze moja Beatrycze

\*\*\*

*Ten obraz wygląda tak dostojnie*

powiedziała Kleopatra

a to było ranne  
mleczne niebo

ciemne sploty włosów  
przywarły do bieli

długie pasma rzęs  
omiatały złotobrazową  
skórę

uskrzydłono ramiona  
czarnych węgli oczu  
i krew  
jaskrawoczerwoną

*nie kłam że umarłeś  
węże to były tylko promienie potrzebne do chwały  
bolało bolało*

Kleopatra będzie żyła przecież wiecznie

na białym papirusie  
jak na dostojnym  
białomlecznym niebie

*z jedną tylko czarną gwiazdą*

*Anna Krzemińska*

---

\*\*\*

*więc dla ciebie byłam tylko światłem  
mieszaniną kolorów  
nie wybuchającą nocą w tobie  
z przyczyn bliżej nieznanym*

*a ty chciałaś być ogniem  
poezją nieokiełznaną  
którą można tylko kochać  
jednym oddechem  
literą  
słowem  
wierszem*

*czasami chciałam być mewą  
czasami podać ci rękę  
i być jak słowa nieważne  
najważniejsze*

*krótkie  
głupie  
nic nie chcące*

*a jednak przecież  
najbardziej wieczne*



**Absurd**

pamiętam obrazy sprzed dzieciństwa  
poruszały się jak lekkie motyle  
krzyczały we mnie  
piętrzyły wytrzymałość  
nie pozwalając dojść do słowa

to było jak senne marzenie  
przekłete  
wściekłe nawroty  
letargiczny sceniczny półsen którego nie było  
a który jest we mnie teraz i nadal trwa  
nazywają to czasem nielogicznością

teraz już wiem czego chce  
pocieszali że wystarczy walczyć  
odwracać świat w swoją stronę  
przebierać w słowach sflaczałych i pełnych fantazji

tragiczne jednostki  
utalentowane niegdyś  
teraz został im tylko  
lustrzany szept

a jednak w tym tak zwanym absurdzie  
kryło się piękno nieuchwytnie  
wielkie aż niedostrzeżone  
wydane na świat  
o jedno wzruszenie za późno

*Jerzy Fryckowski*

---

z cyklu : Gertruda Hoppe wraca do Lauenburga

### **Plac Strzelecki**

Państwo Hoppe wychodzą na niedzielny spacer z dziećmi  
dzisiaj w muszli koncertowej zagra orkiestra Hansa Galha  
panie znów przysłonią niebo kapeluszami z szerokim rondem  
panowie zapalą cygara lub papierosy w bursztynowych lufkach  
w repertuarze jak zwykle walce rodziny Strausów może coś z Mahlera  
dzieci wybrudzą twarzyczki ciepłem czekolady a starsi chłopcy  
poproszą rodziców o pozwolenie wzięcia udziału w konkursie strzeleckim  
który odbędzie się po drugiej stronie budynku restauracji  
muzyka zabiera panie w kraje lat dzieciennych szkli ich oczy  
przedziera się przez kwiaty w kapeluszach razem z wiatrem  
chowa się w brodach przechodzących chyłkiem Żydów  
jest piękne lato 1939 roku

### **Babcia opowiada małej Trudce**

Był dwudziesty lipca tysiąc dziewięćset ósmego  
od samego rana Lauenburg pachniał girlandami z kwiatów  
ze starego rynku już dawno znikła woń  
handlujących tu cztery razy w roku furmanek  
stałam wśród miejscowej arystokracji  
po naszej lewej stronie pastorzy miejscowego synodu  
dalej weterani wojen pruskich a wśród nich twój dziadek Albert  
jeszcze dalej przedstawiciele władz miasta  
burmistrz kłaniał się młodszemu synowi elektora brandenburskiego  
którego pomnik uroczyście odsłaniano  
mistrz dłuta Fritz Schaper z Berlina długo kłaniał się paniom w białych  
kapeluszach  
brawom z otwartych okien nie było końca  
gołębie pocztowe znikwały w chmurach by roznosić wieści  
z naszego pięknego miasta Lauenburg

### **Gertruda Hoppe ucieka z matką w stronę Gotenhafen**

Dziewczynka boi się wybuchów i przeraźliwie płacze  
matka pokazuje jej czarno-białą widokówkę statku  
i obiecuje daleką wyprawę gdzie jeszcze nie słyhać rosyjskiego  
to nasz słynny MS Wilhelm Gustloff  
flagowy statek wycieczkowy floty organizacji Kraft durch Freude  
musimy tylko dotrzeć do Gotenhafen obecnie portu macierzystego  
na nic legalne papiery i pudełko z medalami dziadka  
już nikt nie szanuje weteranów pierwszej wojny  
jest trzydziesty styczeń dziecko płacze z zimna  
idzie sztormowa noc  
matka ze wzgórza parkowego patrzy w stronę Lebamunde  
o godzinie dwudziestej pierwszej szesnastce  
trafia pierwsza torpeda potem jeszcze dwie  
wycelowane wprawnym okiem kapitana S-13 Aleksandra Marinesko  
Gertruda wraca z zawiedzioną matką do domu  
w rączkach trzyma bochenek chleba i fotografię statku

### **Gertruda Hoppe wysiada na dworcu w Lęborku**

Tyle lat wciąż te same mury które oparły się historii  
starsza pani udaje się w kierunku średniej szkoły żeńskiej  
powoli i z trudem odczytuje litery z polskiej tablicy:  
*Pierwce liceum ogólnokształconce imienia Zeromskiego*  
to tu powinny powiewać na wietrze kokardy matki  
gwar jej koleżanek mógłby nadal denerwować panie nauczycielki  
Gertruda Hoppe idzie w stronę starego rynku  
obraca na palcu złotą obrączkę jedyną pamiątkę  
jaką ojciec zostawił matce przed wyjazdem na front  
szuka sklepu jubilerskiego Paula Schmidta  
to tu młody oficer Wermachtu wysupłał swoje wszystkie oszczędności  
starsza pani wysiła oczy uzbrojone w szkło i rogowe oprawki  
nie rozumie napisów ciekawości ludzi obcy jest jej zapach  
stara kobieta dostaje zawrotu głowy wymiotuje  
biedna stara kobieta ofiara ruchu obrotowego Ziemi  
i głupich pomysłów chłopców w mundurkach

Gertruda Hoppe odchodzi tak cicho jak przyszła  
Lauenburg czy Lębork już nie widzi różnicy

### **Café Puszkina**

Stara kanapa w głębi, ukryta i ustawiona tak, że stanowiła mały azyl, schronienie przed ludźmi, ucieczkę od ich natrętnego wzroku i niezdrowej ciekawości. Mimo że miejscami porozrywana, mimo że wylażyły z niej kłaki, pewnie też niejednokrotnie była zalana wódką, czy nie wiadomo czym jeszcze, to jednak siedziało się przyjemnie. Może nawet w swoich objęciach, w miękkości materii gościła lepiej niż niejedna z kobiet, które przewinęły się przez moje życie. Wytarta jasnobrązowa skóra i wysokie oparcie sprawiały, że czułem się niewidzialny, nie podlegający niczyjej ocenie, nieosiągalny dla czyichkolwiek oczu. To charakter miejsca i specyfika atmosfery, której można się tylko biernie poddać, wtopić w któryś kąt i dryfować.

Ciężkie powietrze i ogólny zaduch. Jak zwykle smród alkoholu i dymu tanich fajek. Właściwie nie trzeba przynosić swoich, pod sufitem jest tyle nikotyny, że w zupełności starczy na zaspokojenie głodu papierosa. W kącie ja. Ostatnio przebywam tu tak często, że to miejsce stało się moim drugim domem. Ludzie pracujący tu przyzwyczaili się do mnie jak do mebla, którego obecność jest oczywista. Goście, czy to stali bywalcy, czy ci, którzy zaszli przez przypadek, zaczęli stanowić część mojej codzienności i tak albo siedzę i zadreżam, wręcz katuję się jedną i tą samą myślą, albo chcąc uciec od niej bodaj na chwilę upijam się do utraty świadomości. Czasem dla własnej przyjemności wymyślam historie, powody, dla których ci ludzie tu są, dla których, jak ja, weszli w pozornie bezpieczny labirynt odurzania się, stworzyli świat będący azylem, fałszywym azylem. Świat, który stał się częścią mojego świata, krainą nieświadomości, księgą sennych mar.

Jak zwykle siedzę na mojej kanapie odwrócony plecami do okna wychodzącego na ulicę. Ta również nie jest taka zwyczajna. Ciasna, półkolistą odnoga od głównej. Tak sprytnie wymyślona, że nigdy, nawet w zenicie słońce nie oświetla jej całej, zawsze pozostaje cień, w którym można się ukryć. Dla takiej knajpy miejsce idealne. Dla takich ludzi knajpa idealna. Oto Café Puszkina...

Stawiam moją głowę przeciw waszym nędznym portfelom, uśmiechom i tępemu życiu, że nie ma tu nikogo szczęśliwego, tu w Café Puszkina. Sami straceni, a ja w ich liczbie. Taki miałem kaprys, żeby wziąć ze sobą tomik napisany przez jej patrona. Gdyby ten wiedział, do czego będzie użyte jego imię, do nazwania jakiej mordowni, cmentarza żywotów, kłębny i wrzesz-

czał, wywrócił do góry nogami wszystkie stoły, ludzi, krzesła. Może właśnie dlatego tak lubię to miejsce, ludzie są warci tyle, co stoły, co krzesła.

A z tomikiem... nie wiem skąd mi się ubzdurało. Może z filmów, z jakichś romansów, gdzie aktorzy mówią takie brednie, że w połowie dostają odruchu wymiotnego. Może przez książki. W rosyjskich powieściach ukochani zawsze jechali razem na Syberię – w głąb kazamatów nicości, bezkresnego lochu. Wierzyli, że uda im się przebić lód, na którym owo więzienie stoi i w miejscu, gdzie spod bieli wзира kwadrat ziemi, dzięki ich ciepłu, wzajemnemu oddaniu wyrośnie kwiat – symbol piękna i życia. Stokrotne brednie. Karmili się mrzonkami, dopóki pierwszy prawdziwy głód nie otworzył im oczu, nie zrzucił łuski, która do tej pory zaślepiając, dawała siłę. Jechali jedno przez grzechy, które musiało katorgą odpokutować, drugie, dla kontrastu, czyste i białe jak niezapisany zeszyt, niewinne, a unurzane tylko miłością do grzesznego.

Chyba po to mi ten Puszkina, dla kontrastu. Wstydziłem się trochę, nie wiem czemu, i tak już się nie przejmuję, nie będę przejmował się nikim, a mimo to wcisnąłem książkę w głąb kanapy, żeby była równie niewidzialna co ja. Obok knajpy, jakże pięknie nazwanej „café” umieścili bibliotekę. Zawsze zastanawiałem się dlaczego akurat tu? Chyba z chęci zakpienia z resztki ludzi sięgających po książki. „Przyjdźcie, weźcie wasze nowe światy, marzenia w formacie A5, bierzcie. Tylko najpierw przejdźcie obok Café Puszkina. Chcecie Dantego? Odwróćcie głowy, tuż obok macie ilustrację jego Piekła. Balzaca? Proszę, oto czyściciel de Rubempré, poczekalnia wędnącej nadziei, straconych złudzeń. Może myśli Platona? Gdyby w jego świecie idei istniało Café Puszkina, pierwowzór tego miejsca, marmur, z którego jest raj, popękałby siecią rtęciowych żył, zmienił w chmurę pyłu, stopił. No chodźcie. Bierzcie. Śmiało.” - tak pewnie myśleli. Gładziłem palcami chropowatą okładkę, jej faktura przypominała piasek. Nie, nie piasek, raczej szorstkość chodnika. Tę znam dobrze. Obdzierając swoje dłonie, nieraz twarz o szare, podobne do nagrobków płyty świetnie zapamiętuje się ten kontakt, ich twardą pieczęcią i metaliczny posmak krwi w ustach.

Wracając do samej Café Puszkina. Oprócz tego, że gromadziła najgorszych, chociaż nie, złe słowo, gromadziła ostatnich ludzi, bo tu najpierw się staczało, alkohol wypierał człowieka z człowieka, potem sięgnąwszy dna, sięgnąwszy tego osławionego bruku, szło się nad rzekę, na most, aby móc z bruku rzucić się jeszcze niżej, mimo to jednak knajpa miała coś w sobie. Może właśnie dlatego, że kanapy były stare, miękkie jak spleśniały owoc, dym tytoniowy zastępował tlen, a Bóg jeden raczy wiedzieć skąd,

sączyła się muzyka idealnie mieszająca się z zaduchem tego miejsca. Kontrabas nisko wyplakiwał swoje nieszczęścia. Akordeon jakby miotał się stale w jednym i tym samym rytmie, w spazmach chwilę przed śmiercią. Facet z głosem szorstkim i zachrypniętym, jakby jego krtań była co noc pieszczona papierem ściernym i spirytusem. O ile pierwsze było metaforą, która dopadła mnie sam nie wiem kiedy, o tyle drugie, ze spirytusem, było jak najbardziej pewne.

Siedziałem przy drugiej szklance wódki, przez jakiś czas jeszcze robiąc to, co lubiłem najbardziej – obserwowałem ludzi, gapiłem się na nich i wskroś nich, pytałem siebie czemu tu są, czemu każdy kryje się jakby ze wstydu, że siedzi w takim miejscu, nad równiną brudnego stołu. Nikt chyba nie powinien poznawać ich historii, może są jeszcze smutniejsze, niż te tworzone przeze mnie. Z pewnością smutniejsze, bo prawdziwe, a ten stempel przyłożony do czegokolwiek nadaje naprawdę gorzki smak. Myślę, że najpiękniej mają ci, którzy nie wiedzą, że żyją. Narkomani nie czujący żadnej potrzeby kontaktu z realnym światem, wariaci budujący kolejne piętra swojej abstrakcji oraz ludzie żyjący pełnią życia, życia, o którym wiedzą, że pozostało go niewiele, dwa, góra trzy lata.

- Podać coś? – wyrwała mnie z zamyślenia kelnerka. Chyba lepiej nazwać ją sprzątaczką. Była tu zatrudniona, żeby co jakiś czas przejechać stoliki szmatą i podchodzić do ludzi wygłaszając swoją formułkę:

- Ale od razu mówię, że kuchnia zamknięta, jest tylko picie.

Często tu bywałem, zawsze kuchnia zamknięta, zawsze było tylko „picie”, jak to ładnie określiła i zawsze mi to powtarzała, żebym przypadkiem któregoś dnia nie zapomniał i nie poprosił o coś na ciepło: kotleta, zupę, czy choćby kawałek padliny. Kuchnia zamknięta, jest tylko picie.

- Napełnić... - podałem jej szklankę, wzięła, odsunęła biodrem krzesło vis à vis mnie, żebym nie trzymał tam nóg. Obute stopy ciężko spadły na zniszczone deski. Kobieta odeszła.

Ciekawe, co robi tu taka młoda? Dwadzieścia parę lat, parę to jest od trzech do pięciu. Drobna, w brzydkiej fryzurze, zniszczona, ale... gdyby się nią zająć, gdyby przybył jakiś książę, a nie ten robak, do którego wraca po pracy. On, który w niepranej od dawna koszuli siedzi w domu i czeka, aż mu się ugotuje, posprząta i zapyta czy ma jakieś dodatkowe zachcianki. On, który wieczorem, po pijaku, czy czasami nawet zupełnie na trzeźwo w akcie niekontrolowanego wyrzucenia furii, frustracji, świadomości przegranego życia, zbije tę biedną, bo coś tam mu się nie spodobało, czy zwyczajnie miał zły dzień. Przez niego, Głupia, pracujesz tu i nie dość, że masz pracę w piekle, to jeszcze w piekle mieszkasz. Nie, ona nie wyrwie

się, nie zdejmie tej obroży. Wszystko dlatego, że nie zna prostej prawdy. Ucieka od życia, które może być inne, być lepsze. Jej matka miała tak samo, jej przyjaciółki mają tak samo i pewnie jej córka będzie miała tak samo. Wszystkie pogodziły, bądź pogodzą się z szambem, gdzie zdane tylko na siebie, żyją.

Nie ma nawet marzeń o księciu, który wyrwałby ją z tak bolesnego stanu. Który byłby może nawet romantykiem. Patrzyłby jej w oczy, czego nigdy nie doświadczała, nigdy rzeczy tak banalnej. Księcia, który rozmawiałby, a nie tylko wydawał polecenia, który trzymając jej dłoń, czułby ciepło, obecność, przyjemność przebywania. Porzuciłby wszystko i w pociągu pędzącym ku mroźnemu końcowi świata, w przedziale pełnym wszy, morderców, obok składanych na stertę trupów, cieszyłby się, że ma jednak ją. Byłby nieskończenie rad, że mógł porzucić dom, pieniądze, że mógł poświęcić własne życie i jechać wspólnie do więzienia Syberii. Więzienia, które człowiek stwarza sobie sam, które powstało z nieskończonych połączy lodu, lodu i lodu... jest jedynie wysepką wyrzutek pilnowanych przez strażników z karabinami. Niepotrzebnymi karabinami, bo kto miałby uciekać. Dokąd miałby uciekać, skoro wszędzie wokoło jest śmierć. Byłby Niechludowem z Tołstoja. Człowiekiem, który porzucił rodzinę, dom, majątek, aby móc być koło swojej ukochanej. Tej, która mimo że się upodobała, mimo że sprzedawała siebie, mimo że jeśli w ogóle powróci pomiędzy żywych, wróci z kurhanu Syberii, to najwcześniej za dziesięć lat, jednak gdzieś w oddali, w oddali czasu i drogi, tli się wąty i ciągle zmagający z próbą wiatru ognik nadziei zmartwychwstania.

Czemu, Piękna, zamiast Niechludowa masz swojego karalucha, czemu zamiast miłości masz siniaki, czemu jesteś bezradnym potwierdzeniem tego smutnego miejsca?!

- Dziękuję – szepnąłem, kiedy postawiła trzecią już szklankę wódki. Oslupiała, myślała, że się przesłyszała, a ja zawstydzilem się, bo w Café Puszkina chyba pierwszy raz zabrzmiało to słowo. Drobną blondynką, z mocno spiętymi, zniszczonymi włosami i palcami wiotkimi jak młode gałązki z niedowierzaniem i lekkim przestradchem cicho powiedziała:

- Co... – reszta słów nie mogła opuścić jej gardła.

- Dziękuję – powtórzyłem nieśmiało. Teraz wiedziała, że się nie przesłyszała. Spróbowałem się nawet uśmiechnąć, ale było ciężko, z resztą mogła nawet nie zauważyć takiego drgnięcia mięśni mojej twarzy dość dobrze zasłoniętej przez wielodniowy zarost. Odwróciła się i szybkim krokiem odeszła, myśląc, że może ma do czynienia z wariatem, może ze świrem, a może nawet z... człowiekiem. Znikła w drzwiach zaplecza. Widzia-

łem, że wchodząc tam, w drobnej dłoni z całej siły ścisnęła skraj brudnej szmaty. Trudno było jej przełknąć to niepasujące do tego świata słowo. To jedno słowo.

Siedząc tak przez chwilę, podejrzewałem, że już zaczyna działać. Miałem specyficzną lekkość myślenia, jakiej nie czułem nigdy dotąd. Tak, dobrze wiem, co mówię – nigdy dotąd. Kolory z wolna mieszały się, a dłoń pilnująca książki z wierszami Aleksandra Siergiejewicza mocno spocila. Uciekłem jeszcze głębiej w brąz kanapy, której kontury powoli zdawały się rozlewać, wnikając w stoły, ludzi, krzesła.

Patrząc na czerwień tapet, ciężką kotarę w oknie, zapadając w świat tak samo wyjątkowy jak dwie proste równoległe, które nigdy nie spotkają się w jednym punkcie, zdawałem sobie sprawę, że przestaję czuć. Na razie było to drobne, ledwie punktowe. Dotknąłem splotu słonecznego, a mimo to nie poczułem ucisku w klatce piersiowej. Jakby palce uczyły się ciała innego niż moje, obcego. Spróbowałem przycisnąć mocniej, ot tak żeby zobaczyć, które to stadium. Nadal nic. Tylko opuszki natrafiające na opór materii. Nie spodziewałem się początków tak szybko.

Znacznie mniej przyjemnie było natomiast pieczenie w gardle, w ustach. Gasilem je kolejnymi łykami wódki. Tę szklankę chciałem skończyć, zanim jeszcze ciało przestanie mnie słuchać. Teraz była jak woda, która zwilżając gardło, uspokajała i wstrzymywała drapanie. Zazwyczaj to ona sprawiała, że odczuwało się różne niedobre stany. W tej chwili jednak mocniej niż spirytus, trawiło mnie coś innego.

Nie było to dla kogoś patrzącego z perspektywy mocno zauważalne, ja jednak z całej resztki sił wsłuchiwałem się w siebie. Każdy ruch, zwłaszcza mimowolny ruch był rzeczą niesamowitą. Staralem się zrozumieć ciało i jego wymowę jak najdokładniej, teraz było warto. Warto jak nigdy.

- O żesz ty kurwa! – odbiło się nagle od ścian. Staruszek powoli wstał z miejsca, spróbował wywrócić stół, ale ręce, nie dość, że stare, to jeszcze osłabione przez wieloletnie wyniszczanie organizmu alkoholem, nie podobały ciężarowi grubo ciosanych nóg oraz topornego blatu. Mężczyzna chciał zrobić burdę, coś mu się najwidoczniej nie spodobało. Cisnął szklanką nieco powyżej lewego ucha swojego rozmówcy i krzyknął mu w twarz: „Ty psie! Ty będziesz mnie uczył?! Mówił co mam robić? To ja wybrałem takie życie, to ja, kurwa, chodzę brudny i poobdzierany! Ze swoim miłosierdziem i radami możesz się wypchać!”. Drugi mężczyzna przy stoliku był wyraźnie zmieszany, próbował uspokoić pobudzonego alkoholem starca.

- Teodor, proszę, uspokój się i usiądź. Teodor, źle mnie zrozumiałeś – mówił niemal szeptem – chcę, żebyś znów żył jak człowiek, żebyś mógł... -



W tym momencie staruszek wyrzucił kopniakiem krzesło. „Ochrona” Café Puszkina nie potrzebowała więcej. Chwycili starego za ramiona, wywlekli z knajpy i tam z impetem wyrzucili na ulicę. Teodor, bo zdaje się, że tak miał na imię, stawiał opór, wrywał się, wrzeszczał i kłął na czym Ziemia stoi. W końcu poturlał się aż za krawężnik i tam jego kości miały nieprzyjemne spotkanie z brukiem uspokojenia. Drugi mężczyzna rzucił się za nim. Był elegancki, w garniturze, fakt, że może nieco staromodnym, ale za to dobrze skrojonym. Oprócz tego, co należało do rzadkości w Café Puszkina, był całkowicie trzeźwy.

- O mój Boże! Teodor, nic ci nie jest? Nie połamałeś się? Teodor! – wybiegł, a drzwi zatrzasnęły się z loskotem. Widziałem jeszcze, jak pomaga tamtemu wstać, po czym odwróciłem głowę od okna i znów wpatrywałem się w brud na słojach drzewa, z którego był stolik oraz, zależnie od humoru, do połowy pełną, bądź do połowy pustą szklankę wódki. Po mojej prawej usłyszałem rozmowę.

- Patrz, Marku, jak ludzie dziadzieją, jak stają się śmierdzącymi lumpami – mówił niski, ciut już bełkoczący głos. Marek, nic nie odpowiedział, może nie był w stanie. Monolog ciągnął się, a jego temperatura rosła – takich starych pijaków powinni dobijać, wyrzucić poza miasto, żeby kulturalnym ludziom chodnika nie brudzili! nie syfili ulic! Takich pijaków, staruchów, takie śmiecie... - już dalej nie chciało mi się wsłuchiwać w moralizatorskie wynurzenia tamtego, spowodowane, dam głowę, paroma kuflami. Jak jedni upadli potępiają innych upadłych, zamiast dostrzec w nich choć odrobinę człowieka.

A on, ten stary, nie, nie mógł być zwykłym lumpem. Może... Moskwa, sam dźwięk stawiał na baczność, przyprawiał o nagły dreszcz, bądź przywoływał idylliczny obraz. Przynajmniej w czasach, kiedy kończył Uniwersytet Moskiewski. Najlepszą uczelnię świata, tamtego świata. Młody fizyk albo chemik, zdolny jak bestia. Ojczyźnie Ludowej swoją postawą nieść chlubę, wiedzę – pomoc. Po tylu odkryciach w dziedzinie inżynierii chemicznej, po tak wielkiej sławie w środowisku, kończył żywot w Café Puszkina, właściwie nawet stąd został wyrzucony. Cóż, nie każdy rokujący nadzieje na wielkie czyny i sławę człowiek takim pozostanie, vide jego przypadek. Żyje, więc się myli.

Po ukończeniu studiów wrócił do Polski, z miejsca został przyjęty na placówkę naukową i to za dobrą pensję. Jako zasłużony Ojczyźnie, nie musiał martwić się o takie rzeczy jak kartki, przydziały. W niedługim czasie ożenił się z pewną młodą dziewczyną. Poznali się i od razu wiedzieli, że coś między nimi jest. Ją pociągała inteligencja Teodora, jego czytanie i

lekkość rozmowy, poważny ton, pozorna surowość, a chwilę później dobroduszną wesołość. Gdy się śmiał, śmiech udzielał się wszystkim, śmiech kryształowo czysty, szczery. On był zauroczony jej stylem bycia, tym jak wzbija się ponad całą szarzyznę, jak lśni i frunie, nie dotykając, choćby skrajem sukni, brzydoty codzienności. Pobrali się. Ja sam nie wierzę i nie lubię słów tak donośnych, a brzmiących jak dzwon z fałszywego kruszcu, miedź brzęcząca, ale... kochali się prawdziwą miłością. Może dla niektórych takie stwierdzenia zakrawają na groteskę, stanowili jednak swoje dopełnienie. Mimo lat ich miłość nie słabła, każdy dzień dawał szansę poznania się lepiej, wspólnego spijania chwil przyjemności. Jak na ten czas, mieszkali wręcz w luksusie. „Żyli wśród róż, nie znali burz, rzecz najzupełniej pewna.”

Aż się wszystko rozsypało, pękło jak zbita kamieniem szyba. Okruchy szkła nie wypadają powoli, po kolei. Sypią się od razu wszystkie. Szyba pryska wielkimi, ostrymi kawałkami, które zanim upadną na ziemię i staną się tylko smętnym obrazkiem, mogą zranić jeszcze tych, z którymi się zetkną.

Odszedł brat Teodora, młodszy brat. To był wstrząs, jaki zwykle przeżywa się, kiedy ludzie odchodzą nie w takiej kolejności, jak powinni, a zwłaszcza jeżeli miejsce ma śmierć człowieka młodego. Janek nie miał jeszcze trzydziestu. W przeciwieństwie do reszty rodziny był niebieskim ptakiem. Nie obchodziły go żadne ograniczenia, czy krzywe spojrzenia innych. Mimo ofiarowanej często pomocy finansowej, choć i tą z reguły odrzucał, żył biednie. Chyba nawet tak wołał, bo niewiele mając, niewiele mógł stracić. Taki był jego stosunek do rzeczy materialnych. Kochał się cieszyć, głośno śmiać, a śmiech jego niezmacony był żadną troską.

Tamtej nocy wracał do domu pijany. W sumie nie wiadomo czy wracał, czy zamierzał bawić się, tyle że gdzieś indziej. Szedł poboczem. Skraj miasta. Protokół podawał potem ilość promili alkoholu we krwi zmarłego, ale Teodor nie chciał zapamiętać tej liczby. Wracał, a z naprzeciwka jechał samochód. Jechał pewnie zbyt szybko, ale po zdarzeniu nie dało się już tego ustalić, bo jedyni świadkowie to zarazem sprawcy. Janek wyszedł na jezdnię trzy metry przed autem. Kierowca nie zdążył ani zahamować, ani odbić na pobocze. Tak właśnie ciało uderzone, łatwo jak kukielka zostało wyrzucone do góry, spadło nieco dalej, a jego temperatura zaczęła równać się z temperaturą przedmiotów.

Potem tylko monotony rytm „Wieczny odpoczynek... Wieczny odpoczynek... Wieczny odpoczynek...” Teodor długo klęczał przed trumną brata. Płakał, łzy rozbijały się o brudną posadzkę kościoła. Nie myślał, że

życie ułoży się w ten sposób, że śmierć nie jest tylko odrealnionym obrazkiem. „Wieczny odpoczynek... Wieczny odpoczynek... Wieczny odpoczynek...” Spuszczali trumnę do pustego dołu. Miała tam pozostać. Wziął garstkę ziemi i również przykrył nią ciało brata. „Już się nie uśmiechnie? Nie żartuje więcej? Nie, to chyba niemożliwe. Zbyt odległe.” Nierzeczywiste jak przekrzywione i szpetne twarze czarownic z baśni. „Wieczny odpoczynek... Wieczny odpoczynek... Wieczny odpoczynek...”

Po żałobie, roku czerni, stronienia od przyjemności, co uważał za swój obowiązek, bo także w ten sposób wyrażał żal, wiele się w nim, w jego zachowaniu, w jego myślach zmieniło. Przy ludziach normalny, rozmawiał, trzeźwo rozumował, czasem nawet z lekka się uśmiechnął. Kiedy jednak zostawić go, kiedy wydawało mu się, że jest sam, stale powtarzał to imię „Janek, Janek, Janeczku...” jakby wspominał brata, rozmawiał z nim, nie mógł pogodzić się ze świadomością odejścia. Wielką podporą była żona, ale jak już wspomniałem, stłuczona szyba kruszy się cała. W niedługim czasie ona także odeszła. Okazało się, że to przez krwiaka mózgu, który nagle pękł. „Krwiak podtwardówkowy, spowodowany prawdopodobnie urazem...” – tę frazę lekarza zapamiętał bardzo dobrze. Ale przecież nie skarżyła się, nie dawała po sobie poznać! Była może nieco bardziej senna, miała problemy z czytaniem, bo obraz się rozmywał. W ukryciu, żeby nikt nie wiedział, łykała coraz więcej tabletek przeciwbólowych. Nie szła do lekarza, nie pomyślała, że to coś poważnego. Brała po prostu kolejne proszki. Czemu w takich chwilach ludzie nie dbają o siebie? Nie poświęca marnej godziny na wizytę u lekarza, badania? No czemu? Potrafi ktoś odpowiedzieć?

Teodor tę śmierć przeżył inaczej, już nie płakał, nie wrzeszczał, nie kładł na Boga. W otępieniu patrzył przed siebie, wskroś murów. Cały ból jaki czuł, zatrzymał wewnątrz. Odeszła druga bliska mu osoba. Nie pozostał nikt, kto byłby w stanie pomóc, podtrzymać na duchu. Nie pozostał w ogóle nikt. Rzeczy ważne przestały istnieć. Wróciwszy do mieszkania, zamykał się sam na sam z butelką. Pił na umór, człowiek nieprzytomny nie może przecież myśleć, nie może czuć. Praca? Zapomniał, że wykłada na uczelni, że może wkrótce zostać dziekanem wydziału. Jeżeli już pojawił się w tym budynku, to w stanie, delikatnie mówiąc, bardzo złym. Nie czekali długo, podjęli decyzję o zwolnieniu dyscyplinarnym. Na do widzenia chlusnęli mu w twarz krótkim „idź na odwyk”. Ciężko wnikać w jego myśli z tamtej chwili. A może nie myślał. Może się nawet przejął? Był już martwy, jednak ciągle zmuszony do podtrzymywania istnienia tej zewnętrznej powłoki. Staczał się tylko coraz bardziej. Znajomi, byli znajomi

chcieli pomóc, zmusić do terapii, do leczenia, sam Teodor nie widział w tym sensu. Żyje teraz w jakiejś opuszczonej, walącej się chałupie, ma swój rewir. Wie ile puszek kosztuje wino, ile butelek potrzeba zdać na chleb. Czeka tylko kiedy i jego świeca wypali się, a z framugi okna wypadnie ostatnio okruch szkła.

Dziś jednak, mimo podartych ubrań, nieogolonej brody, mimo zmian jakie zachodziły w człowieku, kiedy przez parę lat alkohol powoli wypiera z żył krew, rozpoznał go stary znajomy. Uczyli razem. Znów te głupie próby ratowania pozostałej już tylko powłoki, to jęczenia i trucie, próby odtrucia. A jak się skończyło? Teodor został wyrzucony z knajpy, z ostatniej z ostatnich knajp, z Café Puszkina. Teraz próbował wstać i wypluć krew.

A może... a może to wszystko nieprawda? A może ja jestem nieprawdą? Te wszystkie cuda człowieka, wszystkie bunty, rewolucje. Doktorzy ciała, ducha, myśli, świata. Nie uda się już nic, w zapomnienie poszły piękne frazesy, z którymi bez żalu się żegnam. Krwią na szmacie pisane aksjomaty. Dalekie kresy moralności. Zbiegam ze zbocza na północ, gdzie wieczna ciemność, gdzie słońce starą legendą.

Już lekko. Leciutko. Zimno uderza z krwi, uderza w mózg. Lodowato, a ja nie mogę się ruszyć, ruszyć ręk, nóg, czy nawet oczu, ust. Paraliż coraz większy i niemal do końca odwracam się od tego. Akonityna, mój słodki lek zabija lęk i wbija ostrze w jaźń. Dreszcze rosna, maleje czucie, siedzę przygotowany, nieistniejący. Uprzedzał mnie, dokładnie wszystko wyjaśnił i zabezpieczył, żeby nie było inaczej niż chcę. Oprócz tego proszku, dał mi parę tabletek, które zapobiegały brzydkim skutkom ubocznym. Zwiększone wydzielanie śliny. Na początku mój język palił się boleśnie, teraz jest ugaszony, a ja muszę uważać, żeby się nie zakrztusić. Uprzedzał mnie i opowiedział o tym. Podczas drugiej wojny światowej oprawcy zwały siebie naukowcami, aby w ten sposób oszukać, czy chociaż zagłuszyć sumienie, strzelali pociskami zanurzonymi w akonitynie do szczurów doświadczalnych. Szczurami dla nich byli Polacy, Żydzi, wszyscy inni w obozie, którzy wiedzieli, że nigdy nie dane im będzie wypowiedzieć słowo „ocalony”. Po kwadransie od postrzału, czasie jaki żołnierzom zajmowało wyjście na papierosa i chwila rozmowy, niektórzy więźniowie stawali się silnie pobudzenia, dostawali ślinotoku, inni na odwrót, siadali w kącie osłupiali i świadomi śmierci mierzonej na minuty. Po trzech kwadransach nadzorujący badania mogli już poczynić pierwsze ważniejsze zapiski. U zatrutych osób ślina wydzielala się tak intensywnie, że nie nadawali jej wypluwać, wręcz wymiotowali nią, jakby zdziwieni i zaskoczeni własnym stanem. Wkrótce organizm zaczynał szaleć. Rzucali się na ziemię, drżeli

w epileptycznych wstrząsach i dzikich spazmach, gałki oczne uciekały pod czaszkę, mięśnie po pierwszych skurczach wiotczały tak, jak u mnie i więźniowie byli zdani już tylko na nieprzewidywalne zachowanie własnego ciała, nad którym nie mieli żadnej kontroli. W dwie godziny po postrzale nie było człowieka, u którego serce trzepotałoby jeszcze w zamknięciu klatki piersiowej, ostatniej skrytce nadziei.

Pięknie jest skończyć w ciszy. Zabiera mnie tak, jak zabiera noc. Iskry dni już nie przyjdą. Idę w blask, myślę, wiem, że tam czystością płynie czas. Tam się rozplywa biały tłum. Gdzie zmierzch nie jest końcem dnia. Gdzie bezszelestnie leci czas.

W Café Puszkina, w tych kłębowiskach dymu, w ciszy kanapy, czerwieni stołu siedzę skulony, o napiętych nerwach, wyczekując, aż tyknie ostatnia chwila. Nie, już nie mam czego żałować. Niewdzięczność za tak piękne chwile byłaby grzechem. Mogę skończyć się trzymając Aleksandra Siergiejewicza Puszkina, patrząc wskroś ludzi, czekając aż przyjdzie. Jej ostrze lśniące i mocne jak brylant. Ja wiem, wiem, nie musiałem. W końcu każdy ma prawo wybrać. Wybrać to, co jest dobre lub to, co dobre nie jest. Szum ma być jedną z ostatnich oznak, czyli już blisko. Oni, ci w knajpie, chodzą, siedzą, piją. Nie spojrzą na mnie, na ducha, który wspina się, całym sobą prze w górę. Myślę coraz szybciej, choć serce bije coraz wolniej, uderza jak ogromny młot wykuwający miecz. Młot zwalnia, każde kolejne uderzenie rozbrzmiewa dłużej. Nie ma po co się śpieszyć, wie, że dzieło dobiega końca. Materia, której nadawał kształt, pozbyła się wszystkiego, co stanowiło balast wobec ideału, wobec celu. Serce zwalnia, prawie nie bije, zimno na powrót zmienia się w ogień. Płomień trawi resztki, ostatki tego, co pozostało z trzewi. Nie ma nic poza odczuciem, kiedy ból rozdziera, a krzyk pozostaje w zamknięciu krtani. Wciśnięty w róg kanapy, nie mając się nadziejami, biorę w ciszy ofiarę, którą złożyłem sam, którą złożyłem z siebie.

Lecę, spadam w czeluść piekła Memlinga, tonę w scenie Sądu Ostatecznego, w kłębowisku ciał, meduzie ludzkich kończyn, lęku i skrzącego przerażenia. Miechy moich płuc, mimo że tam nieme, tu poruszają głazy grani piekła, mityczna samogłoska wzburza strumień płynnej siarki. Cały Tartar drży od mojego drżenia. Matnia ciał płonących, zgniłych, poszarpanych i zdeptanych przez kopyta obmierzłych kpin z bogów tryska. Oni lecą miękkim podbrzuszem wprost na szpikulce ognia buchającego ze szczeliny otwartej przez człowieka, w którym płomień został rozniecony odejściem, przejściem w eter drugiej duszy. Duszy, której on oddał własną. Duszy tak wielkiej, że dla niej gotów jest poświęcić swoje istnienie, dla

Katarzyna Emilia Gańko

niej całe piekło może runąć, a arterie pompujące smolistą posokę eksplodować. Płuca zatrzymane w połowie oddechu to teraz łza niewarta uwagi, ni chwili lęku. Złocze, z którego zsuwają się kolosalne głązy tratujące potępionych i czarły, diabły, zanurzające z lubością swoje ostrza w krwi upadłych. Zwałisko otwiera się. Jeden duch przebija ściany, niszczy marmur, przecina morze smoly. Wśród jazgotu nie do wytrzymania nawet dla martwych nic nie może go powstrzymać przed pochwytemieniem tej jednej, dla której zaprosił do swoich żył jad i ciesząc się każdą chwilą śmierci. *Okazuje się, że tak. Och, jeszcze jedną. Czy ktokolwiek zauważy cierpienia białej o jej wzrok, oddech, drżenie. Tartar padnie. Hades runie w gruzach. Światy pod swoim ciężarem powtórnie wyparują w czarną otchłań: rozstargniony. W całej anielskiej dobroci szuka tylko swojej winy, nigdy nie chce obwiniać podłego, małego człowieka, który jest prawdziwą przyczyną jego cierpienia.*  
Jego - Idę, Nathalie...

Góry są piękne jesienią. Hale pokrywają bure liście; zanim jednak położą na ziemi swoje leciutkie ciała, długo tańczą walca na wietrze. Ich szum jest jak muzyka, cichutka, dźwięczna. Liściom wtórują strumyki, które nigdy się nie zatrzymują. W tle słychać jeszcze melodyjne mormorando. To góry mruczą do rytmu jesiennej muzyki hal... Roślinki pochylają powoli swoje małe łebki, przygotowują się do długiego, zimowego snu. Zima będzie sroga, świstaki pochowały się już dawno do swych norek, a one przecież nigdy się nie mylą. Płoną ostatnie w tym roku watry, bardziej nawet z przyzwyczajenia niż z konieczności. Może ktoś siedzi teraz w niebie i patrzy na nie? A może to góralski duch zmusza do tej corocznej, małej ceremonii? Góralskie same do końca tego nie wiedzą. Żegnają jesień. Niedługo spadnie pierwszy śnieg, przyjadą warszawskie cepry, trzeba będzie znów znieść narty ze strychu... Ale nie na to czekają góralskie jesienią. Czekają na halny, który przyniesie odwilż, czekają na ciepłe słońce, czekają, by znowu wypuścić na hale swoje owce. Tylko o tym myślą teraz, siedząc dookoła watry i grzejąc się, cierpliwie czekając na wiosnę.

Blanka nie w głowie jednak teraz hale, owce, watry, narty i halny. Kochała góry, od zawsze, jak Adam. Wiedziała o nich chyba wszystko. Przyjeżdżali tutaj razem, kilka razy do roku, żeby wypocząć, nabrać nowych sił, ale też pooddychać, poczuć ten zapach, popatrzeć, posłuchać... Blanka siedzi teraz sama, na ich ulubionej trasie, obok kamienia, na którym namalowano kiedyś białe i zielone paski. Siedzi wygodnie, swoje błyszczące, białe skrzydła rozpostarła na trawie, którą jeszcze muska promieniami jesienne słońce. Jest aniołem stróżem Adama. Stoi obok niego i broni przed całą niesprawiedliwością świata już wiele lat. Zostawiła go teraz z góralką. Starsza pani nie ma z kim rozmawiać, jej syn dawno wyjechał, a

Adam jest do niego taki podobny i jeszcze bardzo chętnie słucha jej bajania... Blanka chciała побыć przez chwilę sama. Zamknęła oczy, czuła na policzkach przyjemne słońce, słyszała śpiew skowronka i delikatną, górską muzykę. Wszystkie tamte dni wróciły jak niesione przez wiatr babie lato. Dni, kiedy była nikomu niepotrzebnym, rozchwianym aniołem, gdy nie chciał jej Adam, i gdy w niebie też nie było dla niej miejsca. Gdy czuła tylko pustkę.

Zawsze była piękna, wyjątkowa. Jej długie, puszyste, srebrne włosy miękko otulały twarz i gładko opadały na ramiona. Wówczas, nieczesane od wielu dni, splecione, przypominały rozerwaną przez nieuważny wiatr pajęczynę. Na młodej, ślicznej twarzy pojawiły się zmarszczki, a na nosie od marszczenia- czarne, podłużne kreseczki. Zwykle białe, delikatne dłonie wyglądały jak zniszczone dłonie spracowanej i zmęczonej życiem kobiety. Nie było blasku, który zawsze bił od niej, gdy tylko Adam był obok.

Adam. W lipcu skończył magiczne czterdzieści lat. Wysoki, przystojny brunet. Jest cenionym w swoim środowisku doktorem języka polskiego. Zajmuje się pracą na swojej macierzystej uczelni, na jego wykładach nigdy nie ma pustych miejsc, a studenci słuchają go jak najwyższego guru. Praca naukowa od zawsze daje mu radość i spełnienie. Badania i dociekania pochłaniają go tak bardzo, że potrafi przez kilka dni z rzędu spać w uniwersyteckiej auli i żywić się tylko słodkimi batonikami z automatu. Nie ma rodziny, ojca nie pamięta, matka zmarła dwa lata temu. Nie pamięta, kiedy ostatni raz zapalił lampkę na jej grobie.

Jego jedyna siostra już dawno wyjechała do Japonii razem z mężem, Japończykiem. Ma dobrą pracę, trójkę udanych dzieci. Ich kontakty ograniczają się do kilku telefonów rocznie, na święta i urodziny, krótkich, bo to przecież takie drogie... Adam jest więc sam, nie licząc rasowego, petruskiego kota. Kota, który swoją klasą nie pasuje do jego minimalistycznego mieszkania. Odkąd się do niego wprowadzili, czegoś w nim brakuje.

Tą brakującą częścią jest kobieta. Humanistka, której obce są różniczki i całki, arkusz kalkulacyjny i numer PIN do bankomatu. Zna natomiast na pamięć setki wierszy, potrafi godzinami rozmawiać o Bachu, Różewiczu, Poświatowskiej, Exuperym. Nie ma jej słodkiego, kwiatowego zapachu, błękitnej sukienki w szafie, słomkowego kapelusza, różowej parasolki, czarnych szpilek na wielkie wyjścia i śpiewu, gdy gotuje; lez bezsilności i światła, którym rozświetlałaby cały dom. Jest tam natomiast kilka najpotrzebniejszych sprzętów: stół, garnitur, pantofle, zapas koszul, które są dla niego jednorazowe- po kilku opłakanych próbach przestał je prasować. Najnowszy laptop, komórka. Największą część mieszkania zaj-

mują jednak półki, na których ciasno poustawiane są książki- podręczniki akademickie, prace badawcze, od niedawna nawet jego debiutancka książka. Adamowi nigdy nie brakowało kobiety, swoją wrażliwością wyczuwał jej obecność, to mu wystarczyło. Bywał na bankietach, przyjęciach, uroczystościach, zawsze sam, nienaganny, zadbany, perfekcyjny.

Blanka stała obok niego od zawsze. Pamiętała pierwszy krok, pierwsze słowo, pierwszą jedynekę z matematyki... Osiemnastkę, studniówkę, pierwszą sesję. Pamiętała każdy ból, każdą łzę Adama. Po prostu była, dzielna i silna, pokonała z nim każdą burzę. Była w nieszczęściach, chorobach i żalach, była w radościach, sukcesach, zwycięstwach. Najważniejsza kobieta w jego życiu, choć być może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Chociaż... Adam czuł jej obecność. Niewielu ludzi to potrafi, wyciszyć się i w swoim wewnętrznym świetle znaleźć anioła stróża. On potrafił. Nigdy nie wyrzucał znalezionych na swej drodze piór. Wierzył, że to Blanka ostrzega go przed czymś, daje mu sygnały. Nauczyła go tego babcia, gdy był jeszcze małym Adamkiem.

Zawsze był chłopcem innym niż wszyscy mali chłopcy w jego wieku. Dużo czytał. Pierwsze książki wkładała mu do ręki mama, później już sam wybierał sobie lektury. Zdarzało się, że biegł do biblioteki dwa razy w tygodniu. Rzadko grał w piłkę, od samego początku szczerze tego nie lubił. Nie chodził też do dyskoteki. Czuł, że to głośnie, nieprzyjazne miejsce nie jest dla niego, był tam obcy. Zamiast tego wolał siadywać w parku albo na ławce przed domem, z książką i ołówkiem w ręce. Był też wrażliwy jak mało kto. Wierzył w znaki, przeznaczenie, ale przede wszystkim- w anioły. Niestety, przez swoją „inność” nie był akceptowany w swoim środowisku. Szydercze docinki kolegów i piekące od łez policzki pamięta do dziś, czasem wracają w złych snach. Odkryto go naprawdę dopiero w liceum. W klasie humanistycznej mógł wreszcie, nie narażając się na złośliwe kpiny, robić to, co lubi. Wtedy zaczął nawet sam pisać. Zdarzało się, że całą noc przesiedział nad zeszytem, by następnego dnia wszyscy mogli czytać jego nowe opowiadanie. Studia wybrał bez zastanowienia, wybór przecież był jasny. Filologia polska na najlepszym uniwersytecie w kraju. Najwspanialsze pięć lat jego życia, pięć absolutnie szczęśliwych lat. Potem wszystko potoczyło się już szybko. Magisterium, praca naukowa, doktorat, pierwsza książka. Wszyscy mogli zazdrościć mu kariery naukowej, która rzeczywiście jest imponująca. Zarabiał dobrze, ale sam wiedział, że nie pracuje dla pieniędzy. Dla siebie, dla satysfakcji, dla radości życia.

Miał za sobą ciężki okres. Kilka razy wyjeżdżał, pisał, czytał, badał i szukał u źródła. Więcej i lepiej niż inni. Przez półtora roku pracował na



zagraniczne stypendium, które otworzyłoby przed nim międzynarodową karierę naukową. Znajomi z uniwersytetu pytali: „To jak Adam, paszport już masz? Ale przylecisz z powrotem, chociaż na święta? Kupiłeś wszystko?” To, że otrzyma tę szansę, było więcej niż pewne. Sam też, nieskromnie, przyzwyczał się do tej myśli, zapisał się nawet na powtórki z angielskiego, powoli przygotowywał do wyjazdu.

Trzy słowa rektora uczelni były jak ostry nóż, który powoli wbijał się w ciało i niszczył każdą jego część. Nie dostał oksfordzkiego stypendium, nie pojedzie do Anglii na cykl wykładów o polskiej literaturze. „Przykro mi Adamie...”. W podróż życia zamiast niego pojedzie Joanna, młoda, przebojowa pani docent. „Lepiej się zapowiada, ma większe możliwości, sam rozumiesz... Zostań w Polsce, tutaj jest twoje miejsce.” Słowa rektora brzmiały mu w uszach, wracały jak nocny koszmar z dzieciństwa. Nie, cholera, nie rozumiał, nie chciał, by Polska była jego domem! Trzasnął drzwiami, na zawsze rozstał się z uczelnią.

Całe to rozżalenie zaniósł go na ciemnych skrzydłach do ulubionej restauracji na Sadybie. Kelner w czarnym smokingu usłyszał: „Lampkę czerwonego wina poproszę!” To był jedyny alkohol, jaki w swoim życiu Adam próbował, innych się bał, nie znał, nie chciał... Za chwilę stanął przed nim kieliszek na zgrabnej, smukłej nóżce. Zdenerwowany polonista długo oglądał promienie słońca, które załamywały się i odbijały w nierównościach kryształu. Nie mógł się uspokoić. Serce biło nieznanym, szybkim rytmem, myśli osaczały, próbując rozerwać ciężką, bolącą głowę. Poczul nagle dziwną gotowość i pewność. Uderzył z całej siły złożoną dłonią w kieliszek. Burgund wina zmieszał się z czerwienią krwi i powoli wsiąkał w śnieżnobiały obrus.

Dla Blanki wydarzyło się za dużo jak na jeden dzień. Nie wiedziała, co robić- zbierać potłuczone kawałki szkła czy lecieć za Adamem, który już zniknął jej z oczu. Wybrała to drugie, sprzątanie zostawiając oszołomionej obsłudze restauracji. Kluczyk cichutko zadźwięczał w zamku srebrnego chevroleta. Blanka zajęła miejsce pasażera w ostatniej chwili przed ruszeniem. Elektryczne szyby, skórzane obicia i kierownica, która wykonywała nieskoordynowane, gwałtowne ruchy, wydawały tępe, puste dźwięki. Tapicerkę pokrywała duża już, i wciąż rosnąca, plama krwi, sącząca się z nasady prawej dłoni Adama.

W ciemności mijali zakręt za zakrętem, drzewo za drzewem. Adam nie mówił nic, ale ona wiedziała. Jego duże, kochane, błękitne oczy mówiły wszystko, oddawały każdą emocję, którą teraz czuło serce. Wracały zabójcze słowa: „Przykro mi Adamie...” Jeszcze raz przeżywał wydarzenia dzi-

siejszego popołudnia, szukał czegoś, czego nie dopatrywał, nie dokończył, zrobił źle. Szukał swojej winy. Miejsce wściekłości zajął żal. Z zamyślenia wyrwał go czyjś krzyk, huk gniecionej metalu i brzęk tłuczonego szkła. Blanka też się obudziła, nie zauważyła nawet, kiedy zasnęła, tak była zmęczona.

Adam, kierowany instynktem, wyskoczył z samochodu. Tak jak przypuszczał, na jezdni leżał nieprzytomny człowiek, obok niego zgnieciony rower. Już całkiem na trzeźwo przypomniał sobie kurs pierwszej pomocy. Tętno, oddech, tak, żyje! „Teraz niech będzie mu ciepło” - myślał gorączkowo, zdejmując z pleców nową marynarkę od Armaniego. Nie wiedział, co robić. Wszystko, czego nauczył się teoretycznie, zupełnie nie sprawdzało się w praktyce! Jednak był pewien słuszności swoich działań, słyszał głos, który wydawał ciche, ale stanowcze polecenia. Telefon, telefon na pogotowie! Numer, zaraz, jest, 112, „Wypadek, proszę pani! Gdzie? W lesie! Boże, nie wiem, przy głównej trasie! Jeden, jeden nieprzytomny człowiek, ale żyje, proszę pani, żyje!” Karetka przyjechała po chwili, na szczęście była gdzieś niedaleko. Pojechał za nią do szpitala, czuł, że jest to winien temu mężczyźnie...

Nikt nie chciał z nim rozmawiać. Białe ściany napawały go lękiem. Minuty dłużyły się, zamieniając w tysiąclecia, a on, na szpitalnym korytarzu czekał na diagnozę lekarzy. Dopiero teraz dotarło do niego, co tak naprawdę zrobił. Mógł zabić człowieka, niewinnego, przypadkowego człowieka! Wszystkie złe emocje, które nagromadził w sobie tego dnia, zamieniły się w nieopanowany strach. „Czy ten człowiek będzie żył?”. I wtedy usłyszał kolejne słowa, które jego mózg będzie powtarzał jak mantrę. „Przykro mi, ale nic nie dało się zrobić... Złamanie górnego odcinka kręgosłupa, pęknięcie wątroby, krwotok wewnętrzny. Cudem byłoby, gdyby przeżył. A cuda, jak pan wie, bardzo rzadko się zdarzają.”

Wyszedł przed szpital. Zapalić, choć nigdy nie palił. Wypić, choć nigdy nie pił. Bańka, która rosła w nim od rana, pękła. Zebrał w sobie ostatnie siły i krzyczał, płakał i krzyczał. „Boże! Gdzie jesteś?! Gdzie byłeś, gdy zabiłem tego człowieka?! Co robiłeś, gdy straciłem dziś największą życiową szansę?! Dlaczego, dlaczego mi to zrobiłeś?! Nienawidzę Cię! Ciebie i całego tego Twojego pieprzonego świata! Taki jesteś dobry, miłosierny, tak? To czemu, kurwa, tak mnie krzywdzisz?!” Łzy nie pozwoliły powiedzieć mu więcej. Może to i lepiej. Blanka siedzi na murku i zanosi się płaczem, a gdyby usłyszała więcej...

Pierwsze płatki śniegu przykrywają grań, szlaki i hale. Na dachach

bacówek i pensjonatów tworzą śmieszne, białe czapeczki. Delikatną kołderką okrywają się przydrożne krzyże, ławki i klomby. Każda śnieżynka jest inna, każda to małe, Boskie, dzieło sztuki. Malutkie zimorodki i sikorki nerwowo szukają jedzenia. Na szczęście śnieg nie przysypał jeszcze wszystkiego, znajdują długą świerkową szyszkę, z której nikt do tej pory nie wyluskał nasionek. Nie będą głodne. W ciemnych jaskiniach i grotach, w miękkich gawrach śpią niedźwiedzie i borsuki. Śni im się piękna Pani Wiosna, która ciepłymi promieniami obudzi góry do życia. Bo góry też śpią mocnym, zdrowym, spokojnym snem. Mróz nie zaskoczył też przygotowanych nań górali. Stosy porąbanego, poukładanego już w lipcu drewna spełniają teraz swoją funkcję- dają ciepło. Stare góralki smażą prażuchy, by rozgrzać spracowanych mężów i synów. Przejechali turyści, wszędzie słychać teraz szum rozmów, przekomarzanie, tak obce góralom, i śmiech dzieci. Zamiast owiec oglądają teraz puchowe, białe miśki, które sympatycznymi łapami zapraszają do pamiątkowego zdjęcia. Zaraz będą Święta. W maleńkim, drewnianym kościółku, w bocznej nawie, powstaje szopka. Prawdziwa, góralska szopka, nie to, co te tekturowe, ceperskie. Proboszcz, starszy już człowiek, nie może się nacieszyć pracą swoich rąk. Piękne, rzeźbione figury są jego chlubą. Wymaszcza Jezuskowi złóbek, śpiewa cichutko na dzwieczną, góralską melodię: „Oj, Maluśki, Maluśki, Maluśki, kieby renkawicka, abo li tes jakoby jakoby, kawalecek smycka.” Śpiew zaraz podchwytyują dzwonki i witraże, wynoszą go przed kościół, przekazują dalej i dalej. Za chwilę śpiewają już wszyscy, a echo niesie melodię daleko, daleko.... „Tam se w niebie spijoleś, spijoleś słodkie małmazyje, tu się Twoja gębusia, gębusia lez gorskich napije...”

Adam powoli otworzył drzwi mieszkania. Za chwilę na podłodze wylądowały wszystkie klucze, aktówka, listy, które znalazł w skrzynce. Chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co robić. W ciągu jednego dnia rozsypało się całe jego życie. Teraz nie ma już w nim sensu. Nie ma pracy, która dawała szczęście, samochód musiał zostać u blacharza, a niewinny człowiek, z jego winy zmarł w biednym powiatowym szpitalu. Wziął zimny prysznic, by zmyć z siebie wszystko, co się dziś wydarzyło. Potem napił się ulubionej, cynamonowej kawy, połknął dwie tabletki aspiryny. Wysypał do miski resztkę kocięj karmy z pudełka. Nawet nie myślał. Wypełniała go pustka, której nic nie mogło wypełnić. Położył się do łóżka, czuł, że na nic więcej teraz się nie zdobędzie. Było już dobrze po drugiej w nocy. Zasnął. Nie miał jednak cichych, spokojnych snów, często budził się przerażony, zlany potem. Przed oczami stawał mu na przemian rektor i lekarz dyżur-

ny. Widział też potrąconego przez siebie człowieka. Obrazy te nie dawały mu normalnie spać.

Blanka także nie miała łatwej nocy. Przesiedziała całą, zwinięta na wysokim taborecie w kuchni. Nie była pewna, czy nawet powinna tam być, przecież Adam powiedział Bogu, że Go nienawidzi... „Ale może się opamięta, jeśli jakoś mu pomogę? Może miał po prostu bardzo ciężki dzień, a jutro wszystko będzie już w porządku?”. Skąd ma wziąć siły na jutro? Nad ranem zasnęła oparta o kuchenny blat. Pod głowę podłożyła sobie splecione, białe dłonie, schowała w nich szarą, zmęczoną twarz.

Rano obudził Adama kot, który słodkim miauknięciem domagał się śniadania. Adam zlekceważył go, naciągając na głowę kołdrę. Głowę rozsadzał mu ostry, przesywający ból. Na pewno nie chciał teraz wstawać, znajdować pudełka z sucha karmą, nalewać wody do drugiej miseczki... Nie. Kot jednak nie dawał za wygraną. Wskoczył na łóżko i łapkami, cierpliwie odgarniał kołdrę ze swego pana, miauczając tak, że ten po prostu nie wytrzymał. Złapał kotka za szaroniebieskie futerko i zrzucił z łóżka tak mocno, że małe zwierzątko z ogromnym pędem przekoziółkowało po podłodze i zatrzymało się na szafie, uderzając przestraszonym łebkiem w jej twardey kant. Już nie zamiauczało. Dziwny szum obudził Blankę, która na swych skrzydłach szybko przyleciała sprawdzić, co się stało. Najpierw zobaczyła nieruchomego kotka, potem Adama, który siedział skulony na podłodze z głową schowaną w rękach. Nie poruszał się nawet. Nie miał siły krzyżeć ani płakać. Wszystko, co się wydarzyło, było zupełnie odwrotne niż miało być! Przecież miał pojechać na to nieszczęśne zagraniczne stypendium, nie chciał powodować wypadku, a teraz zabijać Bogu ducha winnego kota...

Blanka tylko patrzyła. Dużymi, smutnymi oczyma. Była bezradna. Przypomniało jej się w pewnej chwili, że Adam zawsze wierzył w znaki i intuicję. Resztą swoich anielskich sił kurczowo uczepiła się tej myśli. Zawsze, gdy na jego drodze zostawiała pióro, on podnosił je, gładził i myślał w duchu : „Co robię źle?”. Wiedział wtedy, że ma w niej oparcie i słuchał jej głosu. Wyjęła z lewego skrzydła srebrną, błyszczącą sterówkę. Pióro lśniło w promieniach wschodzącego słońca, które ukradkiem prześlizgiwało się przez opuszczone żaluzje. Położyła je obok niego, na podłodze. Wyglądało jak mały, świecący skarb. On zaraz weźmie je do ręki i wtedy jak zwykle będzie się starał usłyszeć w sobie jej głos, a ona wtedy pomoże!

Podniósł do góry ciężką głowę i zobaczył leżące przy nim duże, białe pióro. Dotknął go, było ciepłe, przyjazne i jakby... przestraszone. Najpiękniejsze pióro w jego kolekcji, którą powiększał od dzieciństwa. Właśnie, kolekcja! Pióra pojawiały się wtedy, gdy miał jakiś problem lub trudność.

Kochana babcia powiedziała kiedyś, że te pióra są anielskie. Anioł zostawia je, by ostrzec i zwrócić na siebie uwagę. „Anioł? Bóg? Kim Oni są, skoro zgadzają się na moje cierpienie? Czy Oni w ogóle istnieją? Może są tylko wymysłem fanatycznych dewotek i księży?”- Adam myślał niespokojnie, serce znów biło, oddech przyspieszył i skrócił się. „Przez czterdzieści lat wierzyłem w coś, czego nie ma! Jak mogłem być aż tak głupim człowiekiem?!”. Wstał i podszedł powoli do komody. W ostatniej szufladzie, w bordowym, jedwabnym woreczku leżały sobie, zgromadzone przez lata, śnieżnobiałe, srebrne i złote pióra. Wziął je do ręki i skierował się do okna, które otworzył. Delikatnie dmuchnął w dłonie. Pióra poddały się wiatrowi, który pochwylił je i niósł wysoko w powietrzu. Żadne z nich nie spadło. Leciały nad domami, drzewami, samochodami, jakby nie zauważając szumu miasta. Adam długo jeszcze stał w oknie, chociaż nie było ich już widać.

Srebrzysty anioł się tego nie spodziewał! Przecież nie tak miało być! Blanka postanowiła jednak działać. Poczekala, aż on znowu usiądzie. Usiadł i niewidzącym wzrokiem patrzył w pistacjową ścianę swojej sypialni. Wtedy spróbowała się do niego odezwać, być wewnętrznym głosem, który zawsze był przy nim, który pomagał zachować zimną krew. „Wykap się, zjedz coś, wypij kawę i zrób cokolwiek... Może pojedź do szpitala, zainteresuj się tym człowiekiem?”

Adam usłyszał głos. Z wewnątrz siebie, taki głęboki, ten co zawsze. Szybko skojarzył fakty. „Najpierw niezwykle pióro, teraz ten głos, może to naprawdę anioł?” Pomyślał chwilę. „Nie, to niemożliwe. Jestem przemęczony, mam za dużo na głowie, to pewnie początki jakiejś choroby psychicznej... A nawet jeśli to anioł, to na złość, jemu, i temu całemu Bogu, którego nie ma, nie będę słuchał tych poleceń! Nie będę, słyszysz?! Adam, litości, jesteś dorosłym człowiekiem, kto ma cię słyszeć?”. Bił się z myślami, jednocześnie rozmawiał ze sobą, z aniołem i starał się wyciągać racjonalne wnioski. Jednak wypełnił swoje postanowienie. „Mam się umyć, zjeść śniadanie i jechać do szpitala, tak? To popatrz teraz!” Ubrał się we wczorajszą koszulę i skarpetki, założył garnitur, który od tygodnia czeka, by zanieść go do pralni. Kawę ze słoika wysypał, stłukł kubek. Poszedł do lodówki znaleźć coś do jedzenia. Na najwyższej półce stał tylko jogurt. „Fantastycznie, kot będzie miał śniadanie!” Wlał biały płyn do zielonej kocięj miseczki. Wśród bałaganu przed drzwiami znalazł kluczyki od auta. Schował je głęboko, w szufladzie, pod koszulami. „No i jak? Masz dla mnie jeszcze jakieś polecenia aniołku?”. Nie był wzburzony ani zdenerwowany. Nie był smutny ani rozgoryczony. Był po prostu spokojny.

Blanka siadła po turecku na pralce w kuchni. Patrzyła, co też Adam najlepszego robi ze swoim życiem. Nie chce nawet spróbować myśleć pozytywnie, nie chce niczego zmienić, zamknął w sobie wszystkie emocje, już nie krzyczy i nie płacze, nigdy nie był tak wyciszony w ciężkich chwilach. Nie wiedziała, co się z nim tak naprawdę dzieje, nie chciał nawiązać z nią kontaktu, nie dopuszczał do siebie. Spróbowała jeszcze raz. Na stole, naprzeciwko jego splecionych rąk, wylądowała tym razem drobna, biała lotka. Adam podniósł ją, obejrzał. Za chwilę dmuchnął zawadiacko. Piórko spadło na podłogę. „Błądzisz Adamie... Nie tak powinno wyglądać twoje życie, nie powinieneś teraz tutaj siedzieć. Wiesz o tym. Co zrobisz? Pojedziesz do szpitala? Koniecznie zadzwoń też na uczelnię, wróć tam, masz tyle pomysłów...”. Szybkim ruchem wstał od stołu. Już, już myślała, że idzie po kluczyki albo do telefonu, że posłuchał jej głosu! Zobaczyła jednak, że się pomyliła. Adam wszedł do swego pokoju, czegoś szukał, za chwilę wrócił. Siadł znów przy stole, a na uszy założył słuchawki. Za chwilę usłyszała ich ulubioną kompozycję, to Czajkowski... „No tak, czyli nie chcesz mnie już słuchać? Myślisz, że się poddam? Jeszcze nie!”. Zeskoczyła z pralki, wyszła z domu. A on usłyszał jej słowa mimo muzyki.

Wyszukał w szafie w korytarzu książkę telefoniczną. Przyniósł opasły tom do kuchni i rozłożył na stole. „Gdzie szukać psychiatry? Pod <l> jak lekarz? Pod <p> jak psychiatra? Pod <o> jak ośrodek zdrowia? Hmm... Jest, <p> jak psychiatra!”. Zręcznym ruchem wystukał numer na klawiaturze małego, zgrabnego telefonu. Umówił się na wizytę. „Dopiero za trzy tygodnie? Aż tylu macie tam wariatów? O Boże, przepraszam, nie chciałem... Niech będzie, 18 kwietnia o 15.30.”. Odłożył telefon na stół. „Za trzy tygodnie to ja zwariuję już całkiem. Tylko klinika psychiatryczna mi zostanie. Chociaż z drugiej strony to lepiej, że słyszę głosy, niż miałbym myśleć, że jestem Mickiewiczem...”. Gdzieś na kanapie, pod stertą brudnych ubrań znalazł laptopa. To lubił. Gładka, przyjemna klawiatura sprawiała, że wprawne palce pisały same. Otworzył plik z prawego górnego rogu pulpitu. Wspomnienia z przeszłości. Jego wiersze, opowiadania, monologi z liceum i ze studiów. Było w nich całe jego szczęście z tamtego czasu. Czytał długo, prawie do rana. Zrobiło mu się jakoś lżej, lepiej, wszystkie wydarzenia spływały po nim jak deszcz, który moczy, ale nie oczyszcza... Zasnął, nie myśląc już o niczym.

Blanka wzburzona wybiegła z domu. Anioły z reguły są spokojne, jednak nie wszystkie do końca to potrafią. Chciała kopać puszki rozrzucone na chodniku, chciała krzyczeć i niszczyć! Zapomniała jednak, że jest aniołem i nie może niszczyć, a jej krzyku nie usłyszy nikt. Zrozpaczona upadła

na kolana na środku skweru. Przez łzy zaczęła modlić się do Boga. O siłę, o wiarę, o cierpliwość, dla niej i dla Adama. Chyba nigdy wcześniej tak gorąco i długo się nie modliła. Poczowała ulgę dopiero rano. Nie wiedziała, czy ma po co wracać do mieszkania. Resztkami sił zebrała się jednak i poszła, ciągnąc po ziemi olbrzymie, srebrne skrzydła. Gdy weszła, Adam spał z laptopem w ręce. Otuliła go miękkim kocem i siadła obok, na podłodze. Delikatnie pogładziła jego chłodną dłoń, odgarnęła opadające na czoło niesforne włosy. Poruszył się niespokojnie, aż odskoczyła spłoszona. Po chwili obudził się, jakby wyrwany ze złego snu, niespokojny. Szybko zeskoczył z kanapy, pod prysznic, po kawę, na śniadanie. Nie był sobą, krzątał się po mieszkaniu, trząskając drzwiami. Jego ręce trzęsły się nienaturalnie, stłukły kolejny kubek, zacięły policzek przy gołeniu, upuściły telefon na twardą posadzkę, nie potrafiły zasznurować butów. Przygotował się do wyjścia. Jednak gdy był już na schodach, dotarło do niego, że tak naprawdę nie ma dokąd pójść. Nie ma pracy, rodziny, przyjaciół. Na spacerzy nigdy nie chadzał, nie miał potrzeby pójścia na zakupy. Zawrócił. Blanka powiedziała: „Jedź na uczelnię. Albo na cmentarz, do matki. Wyjdź z domu, dobrze ci to zrobi”. Zrobiła słusznie? Powinna próbować odzywać się do niego po raz kolejny? Nie wiedziała tego, nie mogła przewidzieć reakcji Adama. Jednak za bardzo go kochała, żeby ot tak, po prostu, zostawić go bez pomocy.

Znów usłyszał głos. Wrócił do domu, zdjął marynarkę, zapalił papierosa, pierwszego od dwudziestu pięciu lat. Myślał nad sobą i nad wszystkim tym, co się dzieje. Blanka czekała cierpliwie oparta o framugę drzwi. Wreszcie usłyszała głośny, dobitny głos. „Nie wiem, kim jesteś, ty, który do mnie mówisz. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale po prostu cię nienawidzę! Zniknij z mojego życia, raz na zawsze! Nawet jeśli jesteś aniołem, w co nie wierzę. Zniknij i więcej nie wracaj! Daj mi w końcu spokój, jestem tylko zwykłym człowiekiem...”

Oczy Blanki zaszklily się łzami, które jedna za drugą spadały na podłogę warszawskiego apartamentowca. Spadały i toczyły się, wpadając w szpary między meblami, zatrzymując się w fałdach dywanu. Łzy anioła, prawdziwe, czarne perły. Odwróciła się i wyszła. Nie chciał jej, wyrzekł się ponad czterdziestu spędzonych razem lat. Nie wiedziała, dokąd pójść, by utulić cały swój smutek i żal. Szła powoli przez miasto, aż zobaczyła znajomy budynek jednego z dworców kolejowych. Teraz już wiedziała. Znudzony głos przeczytał: „Pociąg do Zakopanego stoi na peronie czwartym. Planowy odjazd pociągu- godzina 10.14”. Weszła do wagonu, usiadła przy oknie, wygodnie układając skrzydła. Przed nią co najmniej kilka godzin

podróży. Do jej przedziału, na dworcu Warszawa Wschodnia weszło jeszcze kilka osób. Staruszka, matka z dzieckiem, ksiądz, skin w szaliku. Wszyscy czymś zajęci- sobą, dzieckiem, siatkami z zakupami, książką. Co najdziwniejsze, była jedynym aniołem w tym pomieszczeniu. Zapłakała. Sama nie wiedziała, który to już raz dzisiaj w ciągu ostatniego tygodnia... Myślała, że lzy jej pomogą. Niestety, przyniosły tylko ból i gorycz w sercu.

Adam postanowił, że weźmie się za siebie i zacznie życie od nowa. Sprzątnął mieszkanie, zaniósł do pralni brudne ubrania, uzupełnił zapasy w lodówce. Myślał, że znów będzie jak przed dniem, który wszystko zmienił. Postanowił wykreślić tamte wydarzenia z pamięci i kalendarzy. Być tym samym Adamem, który mieszka tylko z kotem w pustym mieszkaniu, ma pracę, która daje mu skrzydła... A tamten dzień? Był tylko złym snem, nocnym koszmarem. Wiedział, że musi znaleźć sobie jakieś zajęcie. Nie chciał wracać na uczelnię. Nie mógłby, nie miałby siły wracać w miejsce, do osób, które przekreśliły jego największą szansę. „Wezmę korekty w wydawnictwie albo będę pisał, może do <Polonistyki>? Albo będę recenzował nowe książki, przecież jeżeli ktoś naprawdę umie coś robić, to praca dla niego zawsze się znajdzie!”- myślał, szukając numeru telefonu do wydawnictwa i znajomych redaktorów naczelnych naukowych pism.

Obrazy za oknem zmieniały się bardzo szybko. Ruchliwe miasteczka przeradzały się w ciche wsie, potem znów w miasteczka... Blanka widziała drzewa, jeziora, stare sady, potem lotniska, betonowe wieżowce i centra handlowe. Próbowwała wśród monotonnego szumu pociągu odnaleźć siebie. Szukała błędu, który popełniła w ciągu tylu lat spędzonych wspólnie z Adamem. Błędu, który teraz zaowocował. Zamyślona patrzyła w okno, z każdej strony otaczali ją ludzie, ich głosy i zgiełk pociągu. Staruszka krzyczy na matkę, że nie potrafiła wychować dziecka, ksiądz chce rozmawiać ze skinem o Bogu. Do jej uszu dochodzą jeszcze dźwięki z innych wagonów, rozmowy, muzyka. Była osaczona. Wybawieniem okazała się stacja „Zakopane”.

Po całym dniu spędzonym z telefonem przy uchu Adam lekko się zdernował. Odświeżył chyba wszystkie stare znajomości, znalazł chyba wszystkich, którzy mogliby mu jakoś pomóc. A oferta pracy znalazła się tylko jedna. Miałby uczyć dzieci języka polskiego w szkole podstawowej, w niedużej, podwarszawskiej miejscowości. Etat tymczasowo jest wolny, bo polonistka odeszła na urlop macierzyński. On miałby uczyć w szkole? Tytułowany doktor z pokaźnym naukowym dorobkiem? On, który o mało co nie wyjechał na oksfordzkie stypendium? Ma uczyć rozwrzeszczane dzie-



ciaki, których wiedza o prawdziwej literaturze i poprawnej gramatyce oscyluje w granicach minus jednego? Nie tak wyobrażał sobie swoją karierę po tylu latach ciężkiej pracy, oj nie tak... Nie, na pewno nie pójdzie do szkoły, nigdy. Dzieci na pewno by go zaszczyły, on nie ma do nich podejścia. „Praca nie będzie psuła mi nerwów, co to, to nie! Będę szukać dalej...” Mijał dzień za dniem, Adam ciągle szukał, pytał, sprawdzał. Nawet zamieścił swoje ogłoszenie w gazetach i w Internecie. Kilka propozycji owszem dostał. Korepetycje do matury, korekty w lokalnej gazecie, indywidualne lekcje pisania wypracowań albo analizy wierszy, praca w szkole dwujęzycznej gdzieś przy granicy... Nic mu jednak nie odpowiadało. Czuł, że gdyby teraz podjął taką pracę, znieważylby swój tytuł przed nazwiskiem. Doktor. Doktor języka polskiego.

Blanka wyszła z pociągu, ogłuszona jego szumem. Od razu poczuła ten sam co zwykle zapach. Niezmienny, bez względu na porę roku. Pachniały góry, jodły, kamienie, wszystko w górach pachnie inaczej niż w Warszawie. Bo w górach wszystko jest prawdziwe i żywe, a nie sztuczne i plastikowe. Nie spieszyła się. Szła wolno, przypominając sobie każde miejsce, każdą ulicę i drzewo, każdy kąt. Po raz pierwszy przyjechała tutaj sama. Nikt nie będzie rano śpiewał starych piosenek, nie zrobi ogromnego bałaganu, nie będzie wesoło gawędził z góralami. Samotność ta ogarnęła ją ze wszystkich stron i natrętnie dawała o sobie znać. Siadła na ławce przy drodze i zapłakała. Nie miała nawet dokąd pójść. Postanowiła, że zamieszka po prostu w górach. Aniołom nie potrzeba królewskich wygód, one nawet o to nie dbają. Chcą tylko szczęścia swoich podopiecznych. Szła wytyczonym, biało-niebieskim szlakiem. Las był przyjazny, jak zwykle. Drzewa otaczały ją niedawno obudzonymi do życia, zazielenionymi gałęziami. Ptaki siadały na ramieniu, gładząc miękkimi piórkami opuchnięte od płaczu policzki. Świstaki i kozice wychodziły jej naprzeciw, wskazując najlepszą drogę, szukając dla niej schronienia. Tak, widziały ją. Bez słów wiedziały też, że stało się coś złego, że brakuje jej człowieka, że powinny pomóc. I pomogły. Znalazły dla niej mieszkanie, pomogły się urządzić, były przy niej, gdy płakała i spała. Słuchały, gdy mówiła, milczały, gdy i ona milczała. Górską przyrodę pomogła jej przetrwać rozstanie z Adamem, te niewątpliwie najtrudniejsze chwile w jej całym anielskim życiu. Nauczyła się żyć w rytmie zmieniającej się natury, czekała na halny, na śnieżyce, na susze... Powoli zapomniała o Warszawie, jej domem stały się góry, ukochane od lat góry. Chyba tylko dzięki nim potrafiła wypełnić pustkę w sercu, którą spowodował brak Adama.

Wiosna nadchodzi zawsze niespodziewanie. Co roku zaskakuje wszystkich- górali, turystów, przyrodę i same góry. Nagle przychodzi silny wiatr, który odgania śnieg i mróz daleko, daleko... Zaraz potem nieśmiało główki podnoszą krokusy i przebiśniegi. Do życia powoli i jeszcze ospale budzą się też inne rośliny, drzewa, krzewinki. Ze swoich jaskiń i gawr wychodzą zaspane niedźwiedzie, borsuki i świstaki. Grzeją futerka w ciepłych promieniach słońca. Zapaleni narciarze wracają już do zwykłych warszawskich, wrocławskich, poznańskich zajęć, do szarej rzeczywistości. Górale w końcu mogą wziąć głęboki oddech. W górach wreszcie zapanuje cisza. Słychać będzie tylko rosnącą trawę, lot sokoła, śpiew spływającego ze szczytu strumienia... Budzą się też same góry, znów zaczynają mówić i mruczeć na własną melodię. Natura składa się w harmonijną symfonię, układa swoje elementy na pięciolinii, by po jednym ruchu ręki wielkiego Dyrygenta zagrać wyjątkowy, wiosenny koncert. Najpiękniejsze są wtedy poranki, gdy nad halami unosi się jeszcze wieczorna, wilgotna mgła. Małe kropelki porywa wesoły wiatr, po chwili je upuszcza, by zbierać nowe. Symfonia tętni dźwiękiem, spokojnym i gwałtownym, cichym i ogłuszającym, pustym i głębokim...

Pracy dla Adama nie było nadal. Z każdym dniem stawał się on jeszcze bardziej sfrustrowany, wątpił w swoje powołanie, myślał : „Przecież te dwadzieścia lat temu mogłem wybrać modny kierunek studiów, mogłem zostać architektem, inżynierem, lekarzem, prawnikiem... Teraz nie miałbym na pewno problemów ze znalezieniem pracy. A tak? Nikt nie potrzebuje humanistów, a polonistów już tym bardziej...”. Ostatnio coraz częściej zaglądał do pliku w komputerze, gdzie od dawna przechowywał wszystkie swoje literackie próby z liceum i ze studiów. Czasem płakał, czasem śmiał się serdecznie, przypominał najszcześniejsze lata życia. Czuł, że czytanie zmienia go i oczyszcza, przynosi ukojenie. Wiedział, że nie może siedzieć w miejscu, nie może się zatrzymywać. Najpierw zaczął od swojego otoczenia. Odebrał samochód od blacharza i oddał do lakiernika, by zmienić jego kolor, ze srebrnego na zielony. Wymienił meble, pomalował na nowo ściany. Kupił nowe krzesła, stoły, fotele i porcelanowy serwis. Później przebudował siebie. Uczył się nowego języka, obiecał sobie, że nauczy się prasować koszule i gotować. Częściej też spotykał się z przyjaciółmi i znajomymi, nagle potrafił znajdować dla nich czas. Nie pracował zawodowo, ale wiedział, że ciągle porusza się do przodu, tempem jednostajnie przyspieszonym, by wreszcie dotrzeć do celu. Celu, którego jeszcze nie znał.

Pewnego dnia, w jego głowie narodził się pomysł. „Wyjadę w góry! Nie

byłem tam już półtora roku... Tam odżyję już całkiem, zapomnę, może znajdę jakiś sens?”. Jak prawdziwy humanista dłużej nie musiał nad tym myśleć. Jeszcze tego samego dnia spakował walizki, kupił bilety na pociąg i zabukował miejsce w pensjonacie. Zabrał ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy, jak wtedy, gdy wyjeżdżał jeszcze jako student. Wtedy było mu w górach najlepiej.

Blanka przetarła zaspane oczy. Zaczął się kolejny dzień, kolejny bez Adama. Tak naprawdę, to przyzwyczaiła się już, że nie budzi się obok niego, nie siedzi obok, gdy ten pije kawę, pracuje, wyklada na uczelni. Przywykła do swojego górskiego, leśnego świata. Jednak... Tęskniła. Jej serce było wciąż przy nim, choć wiedziała, że je odrzucił. Tempo życia przystosowała do rytmu gór. Nauczyła się wstawać chwilę przed świtem, by, tak jak teraz, patrzeć na wschód słońca. Nauczyła się odróżniać dudka od dzięcioła, jodłę od świerka, hałny od zwykłego wiatru. Poznała też ludzi. Ludzi innych niż wszyscy ludzie w całej Polsce. Dobrych, zgodnych, pokornych. Najszczęśliwszych, choć bardzo doświadczonych przez życie. Wyszła na spacer, jak co dzień. Idąc, zamieniała się w słuch, całą sobą czuła muzykę lasu. Oddychała głęboko, rozkoszowała się zapachem czystości, świeżości, natury. Pierwsze kwiaty swoim zapachem po prostu odurzaly jak górski narkotyk. Było jej tu dobrze. Bo góry były częścią Adama.

Podróż minęła szybko, zapatrzony w zmieniający się krajobraz Adam nawet nie zauważył, kiedy znalazł się na zakopiańskim dworcu. Szedł, tą samą od lat drogą, do tej samej góralki, by u niej zamieszkać. Wynajmowała mu zawsze swój najlepszy pokój- południowy, z ogromnym tarasem. Często siadywali tam razem. Ona- zmęczona, starsza kobieta i on- młody, ciekawy wszystkiego, energiczny. Częstoowała go prawdziwą, rozgrzewającą góralską herbata. Och, jak ona opowiadała! O swojej rodzinie i domu, o Zakopanem, znała też setki starych legend. Słuchał jej jak zahipnotyzowany. Miał nadzieję, że i teraz to właśnie ona pomoże mu najbardziej. Wydawało mu się, że wszystko krzyczy do niego: „Dzień dobry, Adamie! A już myśleliśmy, że o nas zapomniałeś...”. A on chciał odkrzykiwać, że zawsze pamiętał, kochał... „To była dobra decyzja. Znajdę tu swój spokój”. Stara góralka już na niego czekała. Mówiła do niego „Jędrus”, tak bardzo przypominał jej syna. On odpowiadał „mamo”, czuł, że ona naprawdę nią jest.

Spędził w Zakopanem najpiękniejsze dwa tygodnie, jakie mógł sobie wyobrazić. Kolejny raz przeszedł wszystkimi ulubionymi szlakami, jadł oscypki, których smaku już dawno zapomniał. Pomagał „matce” w gospodarstwie, nosił wodę, rąbał drewno, wysprzątał ogród. Naprawdę czuł, że

żyje. Nie chciał zmarnować nawet chwili. Rano wychodził z domu, siedł przed siebie, by znaleźć znajomy las, strumyk, drzewo. Nie mógł napa-trzeć się na iskrzące w oddali szczyty, na piękne kolorowe obrazki, które namalował wielki Artysta. Patrzył na hale, na miasta w oddali, pola, rze-ki. Wszystko wydawało mu się tak odległe, takie inne, ale zarazem swoj-skie i przyjazne. Inne niż warszawskie.

Musiała przyjść chwila rozstania, pożegnanie z góralką i samymi gór-ami. Postanowił, że na koniec jeszcze raz pójdzie w góry swoim ulubionym szlakiem. Pogoda była piękna, idealna do pieszej wędrówki. Szedł, nie oglądając się za siebie, czasami tylko przystawał, by podziwiać majestat gór. Mijał lasy, polany, baczówki. Czas zatrzymał się w miejscu. Usłyszał nagle coś dziwnego. Z oddali dochodził się piękny, czysty, kobiecy głos. Głos ten śpiewał rzewną, góralską piosenkę. O zdradzie, rozstaniu i sa-motności. Urzeczony, postanowił odnaleźć śpiewającą kobietę. Przedzie-rał się przez zarośla i drzewa, biegł, a głos zbliżał się, był coraz silniejszy. Adam był pewien, że dochodzi ze środka polany. Gdy odsłonił gałęzie, rze-czywiście zobaczył polanę. Na jej środku kamień, wokół niego małe, czar-ne, błyszczące niby- kuleczki. Nie było jednak widać osoby, która wydawa-ła te piękne dźwięki! Szukał między drzewami, wokół kamienia, ale ni-gdzie jej nie było! Na domiar złego, zjawiskowy głos też ucichł! Adamowi przypomniała się Warszawa i zamówiona wizyta u psychiatry. Siadł obok kamienia i zapłakał.

Blanka wtedy go zobaczyła. Jej Adam! Przyjechał w góry! I znalazł ją, znalazł, ale jak? „Ach, śpiewałam... Musiał mnie usłyszeć! Ale... Co teraz zrobić? Wrócić do niego, zostać? Adamie, pomóż mi!”. Już jej nie słyszał. Szybko zawrócił z trasy, ostatni raz wracał do pensjonatu góralki. Błyska-wicznie spakował się, telefonicznie zamówił bilet. Góralkę, która żegnała go ze łzami w oczach, powiedział tylko dwa słowa: „Mamo, wróć”. Wsiadł w pociąg do Warszawy. Tym razem droga była ciężka, wracały wspomnie-nia. Dręczył go też nieznanomy głos na polanie. Czy to w ogóle jest możli-we? Zasnął. Przypadkowe spotkanie Blance też nie dawało spokoju. Bo przecież skoro przyjechał... Pewnie potrzebuje pomocy, przyjechał szukać spokoju u starej góralki... Zawsze tak robił. Decyzja była krótka. „Wra-cam. Teraz już mnie nie wyrzucisz, nie dasz rady. Potrzebujesz mnie, cho-ciaż może o tym nie wiesz!”

Nieskazitelne, bezduszne mieszkanie. Tylko ono go przywitało. Ale nawet tego nie zauważył. Było już nad ranem, gdy szybkim krokiem wcho-dził po schodach, otwierał drzwi, zostawiał bagaże w przedpokoju. Teraz nie liczyło się nic. Znalazł, znalazł w końcu swój sens! Gdy obudził się w

pociągu, jedna myśl nie dawała mu spokoju. Wiedział, że musi pisać! Ale nie badawcze artykuły czy naukowe eseje. Musi napisać powieść. Musi wszystkim opowiedzieć swoją historię. Spieszył się tak bardzo, bo jego laptop został przecież w Warszawie! „Szybko kawa, żeby nie zasnąć i będę pisał! Tak! Trzeba było pojechać w góry, żeby sobie to uświadomić! Swoja droga- co też te góry robią z człowieka, no naprawdę...”. Teraz już nie myślał. Palce biegały po klawiaturze, linijki zapełniały się czarnymi, małymi literkami. W pewnej chwili zobaczył przed sobą szeroką smugę światła. Nie było ono jednak rażące, a wręcz wydawało się przyjacielskie... Potem głos: „Zmieniłeś się Adamie. Twoje życie będzie teraz całkiem inne, obiecuję to. Bądź szczęśliwy. A w zasadzie- my bądźmy szczęśliwi, jak dawniej...”. Światło powoli znikало. Adam, zaskoczony, siedział wciśnięty w fotel. Tym razem był już jednak pewien. „To był mój anioł, mój anioł stróż! Wtedy, na polanie, to też na pewno był on! Wrócił, choć go wyrzuciłem! Boże, Ty naprawdę istniejesz! Przepraszam...”. Uklęknął na podłodze, chcąc się pomodlić. Nie potrafił. Powtarzał: „Jesteś, wierzę! Dziękuję!”. Cieszył się całym sercem. Blanka klęczała obok niego, dziękując Najwyższemu za siły, jakimi ich obdarzył. Wiedziała, że taka sytuacja już nigdy się nie powtórzy, że będzie stała przy Adamie wiernie, że nic nie skruszy jej miłości. I on się zmienił. Może to prawda, że po czterdziestce życie dopiero się zaczyna?

Jego książka w ciągu kilku dni osiągnęła rekordy sprzedaży. Dostawał do domu kosze kwiatów, listy, maile, telefony z gratulacjami. Polonistyczny świat przypominał sobie o doktorze Adamie. Dostał wiele propozycji pracy, ciekawych, dobrze płatnych ofert. Odrzucił jednak wszystkie. Wrócił do matki, w góry, by tam być na zawsze szczęśliwym człowiekiem. W Warszawie został Adam, jego apartamentowiec, garnitury. Do Zakopanego wrócił prawdziwy on. Blanka nie mogła się nacieszyć, wróciła do swojego ukochanego Adama, który jest teraz taki szczęśliwy... Dla anioła stróża nie ma nic lepszego. Namacalnym znakiem ich szczęścia jest kot, którego znaleźli na zakopiańskim dworcu. Malutki, zziębnięty, rudy kotek. Też zaczyna nowe życie. Znaleźli swoje szczęście po prostu, tam, gdzie ono było.

Słońce grzeje już bardzo mocno, słychać znów obce, ceperskie głosy. Tak, to lato. Na gorących kamieniach wygrzewają się zwinne plamiste jaszczurki. Przyroda zmęczona upałem zastyga w bezruchu. Góry są już śpiące. Czasem przypomina im się jesienne mormorando. U górali żniwa. Ziemia jest słaba, nie rodzi dużo, dlatego cieszy każdy snopek, każdy pęk makówek czy kosz buraków. Praca jest ciężka. Drzewa dają na szczęście chłodny cień. Pod wysokim, rozłożystym smrekiem można drzemać, odpoczywać, rozmyślać. Zapach truskawek, świeżego mleka i skoszonej trawy upaja. Przyciąga jak magnes ludzi z każdego zakątka kraju. Czują, że w górach jest coś Boskiego, jakiś promień, iskra... Coś, co sprawia, że góry to

## Lisy, ptaki i gwałtownicy

Tego dnia Diszan wstał wcześniej niż zwykle, na długo przed wschodem słońca. Wychodząc z naprędcy urządzonego wczoraj legowiska zastanawiał się, w jaki sposób szybko napelnić pusty od wielu godzin żołądek. Pomyślał, że chyba przyjdzie mu nieźle się natrudzić, by osiągnąć ten cel, jako że znajdował się na obcym sobie terenie i nieprędko będzie mógł wrócić w rodzinne strony. W najbliższym czasie czekała go raczej wędrówka według prostej zasady: im dalej od domu, tym lepiej.

Diszan był młodym jeszcze, samotnym mężczyzną, któremu wiodło się ze zmiennym szczęściem. Chwytał się różnych zajęć, niekiedy pracował jako robotnik najemny, częściej handlował. Jeżeli któregoś dnia Elohim nie pobłogosławił mu możliwością zapracowania na chleb, stawał w portyku Salomona, by przysłuchiwać się nauczycielom. Czasem zadawał im pytania. Niektórzy nazywali go „uczonym w Piśmie”, ponieważ miał skłonność do rozważania świętych wersetów i dopytywania o najdrobniejsze szczegóły; a nazywając go tak mówili to z przyjaznym uśmiechem, bez szyderstwa. Ów „uczony w Piśmie” nosił jeszcze w sobie marzenia, a największym z nich było mieć prawdziwy dom zamiast nędznej lepianki pod Jerozolimą. Mógłby wówczas założyć rodzinę, bo dom to nie tylko cztery solidne ściany zwieńczone dachem. O tym pragnieniu nie wiedział nikt, tak jak i prawie nikt nie wiedział o tym, że Diszan był nie tylko robotnikiem, ale także złodziejem. Jak godził zamilowanie do natchnionych tekstów z procederem pozbawiania ludzi ich własności, co przecież stało w wyraźnej sprzeczności z Aszeret Hadewarim? Tego nie roztrząsał, a zapytany nie potrafiłby przekonująco wyjaśnić swego postępowania.

Głód nie był jedyną przyczyną wyjątkowo wczesnego rozpoczęcia dnia. Wstając i wchodząc w rytm zwyczajnych zajęć chciał zapomnieć o tym, co wydarzyło się wczoraj. Bo wczoraj zdarzyła się rzecz straszna.

Diszan miał towarzysza w złodziejskim fachu, Hotira, z którym nie łączyły go więzy przyjaźni, a jedynie chęć zdobywania pieniędzy w nieuczciwy, za to szybki i łatwy sposób (choć, po prawdzie, z tą łatwością różnie bywało). Właśnie wczoraj namówił kompana, aby razem okradli bogatego handlarza winem. Diszan od kilku dni obserwował jego dom i przygotował plan działania. Sukces jednak nie był im pisany — kiedy znaleźli się pod domem kupca i sposobili do włamania, zniecacka nadszedł rzymski żołnierz, nie wiedząc czemu samotnie przemierzający ulice miasta. Żołnierz chyba coś zauważył, bo zatrzymał się i począł nasłuchiwać, a

wówczas Diszan zamarł w bezruchu zastanawiając się gorączkowo, co robić. Postanowił zająć żołnierza od tyłu i ogłuszyć, ale gdy podchodził do Rzymianina zauważył, że Hotir go uprzedził i właśnie nożem rozcina gardło legionisty. Diszan śmiertelnie wystraszył się tym co się stało i zagrożeniem z tego płynącym; wiedział, że Rzymianie będą uporczywie szukać zabójców.

Przerażony rzucił się do ucieczki, w czasie której stracił z oczu kompana. Był pewny, że jego samego nikt nie widział i nie rozpozna, ale nie miał tej samej pewności co do Hotira, ba nie wiedział, czy aby jego towarzysz nie został schwytany jeszcze tej samej nocy. Wówczas, przesłuchiwany, mógłby go wydać. Kara z pewnością byłaby surowa. Diszan, rozważywszy wszystkie „za” i „przeciw”, postanowił zniknąć. Nigdy nie nęciły go podróże, zbyt cenił wygodę mieszkania w jednym miejscu, teraz jednak, dla własnego bezpieczeństwa, opuścił miasto postanawiając nie wracać wcześniej jak za kilka miesięcy. Bywało już, że zniknął w poszukiwaniu pracy na wiele tygodni, nie powinno to więc wzbudzić podejrzeń czy niepokojów u tych, którzy go znali.

W okolicy miejsca, które ostatniej nocy pospiesznie adaptował na prowizoryczne posłanie na pewno pracy i chleba nie znajdzie — było to szczerze pole graniczące z pustkowiem. Wcielając wczorajszą decyzję w życie powędrował na północ, by imać się przeróżnych zajęć i starać zapomnieć o nieszczęsnym wydarzeniu, które miało miejsce na ciemnej jerozolimskiej uliczce.

Pewnego dnia, a był to jeden z tych ciepłych dni zapowiadających nadziejsie lata, szedł do wioski, o której mu powiedziano, że można tam znaleźć pracę. Zbliżało się południe, lekko zmęczony upałem i marszem usiadł nieopodal drogi w cieniu drzewa figowego i po chwili zapadł w drzemkę, z której obudził go gwar — drogą przechodziła spora grupa ludzi wiodącżywioną rozmowę; na jej czele szedł wysoki mężczyzna, którego pozostali nazywali nauczycielem. Diszan, zaciekawiony, wstał i poszedł za nimi.

„Może nadarzy się okazja, aby ukraść lub zarobić” — pomyślał.

Nikt nie zapytał, dlaczego się przyłączył; towarzystwo było dosyć przypadkowe, z wyjątkiem grupy osób znajdujących się najbliżej nauczyciela. Po tych widać było, że jest im bliski, podobnie jak oni jemu, i że wędrują razem już dłuższy czas.

Zaczął się przysłuchiwać rozmowie. Nauczyciel miał na imię Jezus i mówił o jakimś królestwie niebieskim. Mówił spokojnie, łagodnym tonem, a jednocześnie czuć było w jego słowach siłę. Tak mówi ktoś świadom wagi głoszonej prawdy, ktoś mocny wewnątrz. Diszan nigdy wcześniej nie

słyszał o tym osobliwym królestwie, w którym każdy ma przygotowane mieszkanie i gdzie nikt niedostatku cierpieć nie będzie. Wszystko to wydawało mu się dziwne i niewiarygodne.

Szli pośród kurzu i skwaru, słuchając przypowieści i zadając pytania, aż inny wędrowiec wyszedł im naprzeciw. Był słusznej postury, a z jego prawie nagiego ciała zwisały strzępy powrozów; włosy miał skudłone, w oczach obłęd. „Zapewne obłąkany” — pomyślał Diszan. Mistrz przystanął i obaj — Jezus i obłąkaniec — patrzyli na siebie. Zaczynało być ciekawie. Nagus nie zamierzał usunąć się na bok i widać było, że jest nastawiony agresywnie. Gdyby Diszan spotkał sam tego osobnika na drodze, z pewnością by go ominął, a w razie potrzeby ratował się ucieczką. Z różnymi ludźmi miał w swoim życiu do czynienia, nie lubił jednak i nie widział sensu w wystawianiu się na zbędne niebezpieczeństwo. A ten ktoś niewątpliwie był niebezpieczny, nieprzypadkowo pętano go wcześniej powrozami, i każdy zwyczajny przechodzień zszedłby mu z drogi.

Każdy, ale nie Jezua ben Josef. Nauczyciel i przybysz przez chwilę wpatrywali się w siebie. Nagle nagus ruszył gwałtownie na nauczyciela z wyraźnym zamiarem ataku, a wówczas Jezus, cały czas wpatrując się w obłąkańca, podniósł prawą rękę. Gdzieś w oddali zaklaskały skrzydła gołębic i zafalowały żdźbła traw, chociaż Diszan nie poczuł najmniejszego powiewu. Stał i patrzył, a przed nim trwało zmaganie: oto nagus znalazł się jakby na uwięzi i nie mógł ani zbliżyć się do mistrza, ani oddalić od niego. W pewnej chwili osunął się na ziemię i pocałował w stóp Jezusa. Pełna napięcia cisza nie trwała długo:

— Czego chcesz ode mnie, Jezuo? Zostaw mnie! — wycharczał szalenie.

Jezus zapytał go o imię, a usłyszawszy je, mocnym głosem rozkazał temu, który mu odpowiedział, opuścić tego człowieka. Nagus pokorniał, ton jego głosu zmienił się i przeszedł w prośbę wypowiedzianą niemalże szeptem, na którą Jezus przystał, a wówczas wielka trzoda świń pasąca się nieopodal ruszyła pędem po urwistym zboczu i, wydając ryki przerażenia, wpadła w otchłań jeziora. Diszan stał i patrzył, a przeniósłszy wzrok z pogrążającego się w falach stada, na Jezusa zobaczył, że u jego stóp znajdował się człowiek; wyczerpany i brudny, sponiewierany dotychczasowym szaleństwem, człowiek. Obłęd go opuścił i mężczyzna z wdzięcznością spoglądał na tego, który ulitował się nad nim widząc jego cierpienie.

Diszan był ogromnie poruszony tym co się stało. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego, a nawet nie słyszał o podobnym przypadku. Jakże wiele Jezus potrafi! Jaką moc posiada! Kim on jest? Czuł podziw do na-



uczyciela, a skoro o królestwie niebieskim mówi ktoś władający taką mocą, to jakże mu nie wierzyć? Czy istniało coś, czego Jezus nie mógłby posiadać, coś, co mógłby pozyskać tylko kłamstwem? Nie wydawało się to możliwe. A jeśli spełnił prośbę opętanego, to może i do próśb Diszana się przychyli? Może spełni jego marzenie? Pochodzi z mistrzem przez jakiś czas, a potem spróbuje.

Tymczasem pasterze uciekli przerażeni zachowaniem spokojnych do tej pory zwierząt. Wieść o tym wydarzeniu szybko dotarła do pobliskiego miasteczka i jego mieszkańcy przyszli do mistrza, ale zamiast podziękować i prosić w swoich potrzebach błagali, aby nie wchodził do miasta. Świnie okazały się ważniejsze. Diszan szczerze nimi pogardzał.

Przez następne dni szedł pośród ludzi otaczających nauczyciela. Ta wędrówka sprawiała mu przyjemność. Przy Jezusie głodu i pragnienia nie cierpiał, nie musiał się martwić, co przyniesie dzień następny, nie musiał łamać głowy, jak zabezpieczyć sobie przetrwanie. Nauczyciel miał w sobie wewnętrzną siłę i chyba nie rezygnował z żadnej okazji do czynienia dobra. Słyszał jego mocny głos, widział wnikliwe spojrzenie jasnych oczu, twarz pochylającą się nad potrzebującymi, dłonie uzdrawiające chorych i opętanych. Promieniowała z niego dobroć, którą Diszan odczuwał nieomal fizycznie i narastało w nim przekonanie, że ten człowiek potrafi odmienić jego życie. Poczul wzbierającą w sobie sympatię do Jezusa. To uczucie, a zwłaszcza jego nagłe pojawienie się, było czymś nowym, czymś, czego wcześniej nigdy nie doświadczył. Budziło zdziwienie i nawet pewien niepokój, ale przeciwstawić się mu nie potrafił.

Obserwując Jezusa zauważył, że często się on modli. Nawet kiedy czasami głęboką nocą coś budziło Diszana ze snu, zdarzało się, że i wówczas widział nauczyciela trwającego na modlitwie. Zastanawiał się wtedy, skąd Jezus czerpie tyle sił?

Kiedy piątego dnia wędrówki, około południa zatrzymali się na odpoczynek postanowił przybliżyć się do Jezusa. Najpierw dlatego, aby lepiej słyszeć to, o czym nauczyciel mówił. Słowa mistrza o królestwie niebieskim intrygowały. Jezus dużo mówił o królestwie: o jego mieszkańcach, prawach i zasadach, które nim rządzą, o tym, jak można się tam dostać. Ale chciał także przedstawić mistrzowi swoje prośby, gdyż uznał, że nadzedł na to czas. A zacznie od najważniejszej.

Nauczyciela otaczała spora grupa, a on, tym razem, wypowiadał słowa troski. Mówił, że trudna droga przed nim i że tam dokąd idzie oni pójść nie mogą. Smutek pojawił się na twarzy mistrza i widać było, że owo rozsta-

nie będzie dla niego bardzo bolesne. Smutek Jezusa sprawił ból Diszanowi. Pchnięty nagłym impulsem wykrzyknął:

— Pójdę za tobą, dokądkolwiek się udasz!

Jezus spojrział na niego uważnie i powiedział:

— Nawet lisy mają swoje nory a ptaki gniazda i jest pragnieniem wielu, by mieć dom i mieszkać wygodnie. Nie tak jest z synem człowieczym: on i ci, którzy za nim idą nie znajdują miejsca, gdzie mogliby głowę skłonić. Ci, co chcą iść za mną niech zapomną o domu.

Skąd słowa o domu? Czyżby Jezus znał jego pragnienia? Czy to możliwe? Tak czy inaczej odmowa mistrza była wyraźna, Jezus nie ziścił jego marzeń. Poczul się zmieszany, więcej — poczul się odepchnięty. Nie pozostało nic innego, jak oddalić się. Skoro nie znalazł zrozumienia u Jezusa, pójdzie swoją drogą.

Przez wiele następnych dni starał się zapomnieć o Jezusie, ale to się nie udawało; przyłapywał się na rozmyślaniu o królestwie. Czy rzeczywistość każdy ma w nim przygotowane mieszkanie? Z opowieści mistrza wynikało, że miejsce godne jest wyrzeczeń, niezbędnych, aby się tam dostać. Ale gdzie się ono znajduje? Gdzie jest to miejsce, w którym nic nie ulega zniszczeniu i gdzie złodziej dostać się nie może? (Ha, jeśli tak, to nie ma prawa o nim marzyć.) Niekiedy zdarzało się, iż śnił o tym, że przebywa w królestwie. W takie poranki trudniej niż zwykle było rozpoczynać dzień.

Wrócił do siebie; uznał, że może już to bezpiecznie uczynić. Słońce codziennie wykreślało nad jego głową łuk wschodu, południa i zachodu, z nakazu Pana błogosławiąc ziemię swoim światłem i ciepłem. Płynęły dni wypełnione pracą lub przymusową bezczynnością. Nie wiedział co się stało z Hotirem, o kompana nie pytał, aby i nim nie zaczęto się interesować. Prawie zapomniał o swym towarzyszu i o zabójstwie żołnierza, praca mu w tym pomogła i wyglądało na to, że Diszan zaczął wieść uczciwe życie, ale zdarzyło się, że ukradł. Być może zwątpienie zakradło się do jego serca, a może po prostu zbyt łatwa okazja się przytrafiła i pokusa okazała się zbyt wielka — nieostrożny kupiec tak zapalczywie targował się z klientem, że schowanie pod płaszczem flakonu drogocennego olejku było dziecinnie proste. To był błąd — wróciły wspomnienia, a wraz z nimi przyszły wyrzuty sumienia, nigdy wcześniej nie nachodziły go z powodu kradzieży. Czuł się źle, bo świat już nie był tak nieskomplikowany jak kiedyś, gdy wszystko to, co przynosiło zysk i przybliżało do realizacji marzeń było dobre. W obecnym świecie nie potrafił znaleźć dla siebie miejsca. I pragnął znaleźć się w królestwie niebieskim, i widział, że się do niego nie nadaje. Prze-

szłość ciążyła.

Któregoś dnia idąc jedną z uliczek miasta ujrzał w oddali Jezusa otoczonego gromadą słuchaczy. Nieco zdziwiony tym spotkaniem nie zamierzał podchodzić, ale nogi same poprowadziły go w tamtą stronę. Kiedy się zbliżył, usłyszał słowa nauczyciela:

— Ktokolwiek przykłada rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do królestwa niebieskiego.

Nagły zawrót głowy, słowa były ważkie. To nie jego przeszłość była przeszkodą na drodze do królestwa, ale on sam. To, że zbyt często oglądał się wstecz. Bo cóż tam widział? Zabójstwo i liczne kradzieże. Tym nikomu zaimponować nie mógł, a już z pewnością nie Jezusowi. Ale oto sam Jezus nakłania go, aby się wstecz nie oglądał, aby nie traktował swojej marnej przeszłości jako zamkniętej bramy do nowej, lepszej rzeczywistości.

Co więc czynić? Należy uwierzyć mistrzowi i dać się poprowadzić. Odmienić życie. Jednak czuł, że sprawę przeszłości jakoś uregulować musi, by móc pójść za Jezusem. Odrzucić balast, ale i zapłacić rachunki. Odtąd ta myśl często mu towarzyszyła. Zastanawiał się, jak i kiedy to zrobić. A im dłużej myśli o spłaceniu rachunków gościła w jego głowie, tym wyraźniej widział, że nie da się tu nic innego wymyślić, jak tylko przyznać się i zgłosić do odbycia kary. „Inaczej tej winy nie odkupię” — myślał. I chciał to zrobić jak najszybciej, i lękał się.

Niedługo po tamtym spotkaniu, gdy wracał zmęczony z pola, był świadkiem katastrofy. Widział jak zawałiła się wieża w Siloam grzebiąc pod swymi gruzami osiemnastu ludzi. Długo nie mógł się otrząsnąć od widoku zmasakrowanych ciał; wśród ofiar była bardzo młoda dziewczyna, właściwie nadal dziecko. Żyła jeszcze, kiedy wyciągnął ją spod gruzów, wziął na ręce i zaniósł do kogoś, o kim wiedział, że potrafi leczyć. Przekazał mu wszystkie pieniądze jakie wówczas posiadał, aby tylko ów człowiek przywrócił jej zdrowie. Niestety, dziewczyna wkrótce zmarła. Dlaczego nie dane jej było zaznać smaku życia? Poczucie ciepła spojrzenia ukochanego mężczyzny? Doświadczyć macierzyństwa? Tulić do piersi dziecko i razem z nim wzrastać w miłości? Jak niepewne jest ludzkie życie. A gdyby jemu się to przytrafiło? Przecież to było możliwe, przechodził w pobliżu wiele razy. Gdyby wtedy zakończył pracę nieco wcześniej... Jaki los wówczas by go czekał? Z czym stanąłby na sądzie? Dlaczego zwleka z odpokutowaniem winy? Przecież nie wie, ile życia ma jeszcze przed sobą. Przecież boi się Boga...

Okazało się, że Jezus jest w mieście na dłużej. Niby przypadkiem, ale

lubił natykać się na niego i zdarzało się to coraz częściej. Któregoś dnia, stojąc jak zwykle dosyć daleko, usłyszał słowa:

— Czy myślicie, że owych osiemnastu, na których zwała się wieża w Siloam i zabiła ich, było większymi winowajcami niż inni mieszkańcy Jeruzolimy? Bynajmniej, powiadam wam; lecz jeśli się nie nawrócicie, wszyscy tak samo zginiecie.

Wtedy to podjął decyzję — bardziej wyraźnych i nagłych słów nie trzeba było. Do tego widział dzieła mistrza. „Z nim świat wyglądał piękniej i smakował inaczej niż do tej pory bywało. Chcę być blisko niego.” Odpokutuje swoje i pójdzie za Jezusem. Ta myśl kołał niepokój serca.

Jeszcze tego samego dnia oddał się w ręce rzymskich żołnierzy i kazał prowadzić do namiestnika. Stał przed nim z bojaźnią i drżeniem. Piłat przyjął go z wielkim zdziwieniem i nieufnie — do tej pory nie zdarzyło się, aby winowajca zgłosił się dobrowolnie — i, jako sceptyk z natury, postanowił przeprowadzić śledztwo. Ciągnęło się ono długo, Piłat nie spieszył się. Podczas nielicznych przesłuchań, kiedy Diszan zaczynał mówić o motywach swego postępowania i zapewniać, że mówi prawdę, namiestnik mawiał do więźnia:

— Prawdę zachowaj dla siebie, a mi przedstaw fakty.

Jakiś czas po uwięzieniu do Diszana dołączył Hotir, którego pochwycono za jakieś przestępstwo świeżej daty. Przebywali razem w celi i mogli rozmawiać. Tyle, że nie było o czym. Nigdy nie było między nimi pełnego zrozumienia, a teraz było już widać wyraźnie, że ich drogi się rozeszły. Hotir nie potrafił zrozumieć decyzji Diszana, nazywał go głupcem. Czasem nachodziły Diszana chwile zwątpienia i wówczas przyznawał Hotirowi rację. Nie tak miało być. Biurokratyczna machina wymiaru sprawiedliwości obracała przedsięwzięcie serca w żaloszny i śmieszny gest. Wypłykiwała dobre myśli i szlachetne zamiary nanosząc w ich miejsce szlam zwątpienia i udręki. Na szczęście były i lepsze dni, kiedy czuł pomoc płynącą z góry, były chwile, które podnosiły na duchu, chociaż czuł, że sprawy idą w złym kierunku, że prawdopodobnie nigdy już nie odzyska wolności. Podejrzewał, że Hotir przed Piłatem jego obciąża winą za śmierć żołnierza, a może nawet przypisuje mu inne własne występki. Podczas coraz rzadszych i krótszych przesłuchań ze spojrzenia Piłata odczytywał wyrok śmierci. Czy żałował tego co zrobił? Na pewno chciałby znów chodzić ulicami miasta i pracować na chleb zamiast gnąć w więzieniu lub, co gorsza, stracić życie. Bał się tego, ale kiedy się modlił (bo w więzieniu zaczął się modlić) jednocześnie czuł, że jest bliżej królestwa.

Któregoś pochmurnego i wietrznego dnia usłyszał wyrok: będzie ukrzy-

zowany. Stanie się to już wkrótce, gdy tylko zbierze się odpowiednia liczba skazańców — taka rzymska gospodarność, by nie organizować egzekucji z całym niezbędnym nakładem sił i środków, z powodu jednego czy dwóch skazańców tylko. Jeszcze niedawno by rozpaczał, teraz czuł spokój i chyba cień ulgi. Oto wreszcie skończyła się niepewność, te kilka dni życia, jakie mu pozostały jawiły się w pełni przewidywalne. Wiedział, jakie cierpienie go czeka, patrzył nie raz na skazańców; widział, jak się to odbywa. Od tej pory każdej nocy kładł się z myślą, że stanie się to dnia następnego. W głowie miał dokładną wizję swojej karni, a jednak wydarzyło się coś, czego nie przewidział. Przyszedł dzień, który zmienił wiele. Właściwie wszystko.

Tego dnia obudził się wcześniej niż zwykle, spać już nie chciał, bo i sen tym razem nie dawał wypoczynku. Nawet nie wyciągnął ręki po miskę z breją, którą otrzymywali jako poranny posiłek. Nadchodziła wiosna i słońce od czasu do czasu wychodziło zza chmur wrzucając przez wąskie okno celi maleńki snop światła. Słoneczne promienie przywoływały odległe dobre wspomnienia — cóż, nie będzie jednak łatwo rozstać się z życiem, mimo że wydawał się być z tym pogodzony. Nie dane mu było jednak pogрузić się w rozpamiętywanie przeszłości, bo poprzez kraty okna usłyszał narastający zgiełk. Przed pretorium zgromadził się tłum, który natarczywie żądał czyjejś śmierci. Słyszał było:

— Ukrzyżuj! Ukrzyżuj!

Musiało chodzić o kogoś znacznego skoro zgromadziło się tak wielu ludzi. Począł się zastanawiać któż to może być, kiedy hałas ponownie wzmógł się. Tym razem tłum domagał się uwolnienia Barabasa, który również przebywał w tym więzieniu. Diszan słyszał, iż Barabas jest zbrodniarzem bez skrupułów, jeśli więc jego pragnie uwolnić tłum, to jakże wielkim przestępcą musi być ten, którego chcą ujrzyć na krzyżu?

Drzwi otworzyły się nagle i dozorca poderwał ich krzykiem:

— Koniec leżenia! Wychodzić!

A więc to dziś... Wyszedł na dziedziniec stopniowo przyzwyczajając oczy do blasku dnia. Po chwili widział już dobrze. Tego, co ujrzał po drugiej stronie dziedzińca, nie spodziewał się żadną miarą. Stał tam, okrwawiony na skutek biczowania, Jezus. To jego śmierci tak bezwzględnie domagał się tłum. Kiedy zdumiony patrzył na nauczyciela spostrzegł, że spojrzenie Jezusa spoczęło na nim i tym krótkim spojrzeniem mistrza Diszan zyskał pewność, że Jezus go pamięta. Nauczyciel go rozpoznał! To była — mimo sytuacji ich obu — pociecha. Tymczasem żołnierze poczęli ich wyprowadzać z dziedzińca na drogę. Bez przynaglania wziął swój krzyż i poszedł

za Jezusem, który szedł na czele tego pochodu skazańców. Nie zamienili ani słowa, a jednak czuł istniejącą między nimi więź. Pojawiła się też, o dziwo, radość. Oto wreszcie szedł obok nauczyciela, tak jak wcześniej chodzili jego uczniowie, którym zazdrościł. (Teraz ich nie było.) Niósł taki sam krzyż. Wiedział, że jest na właściwej drodze, mimo że była to droga na Golgotę. Przecież to ten sam Jezus, który z wielką mocą wyrzucił złego ducha z szaleńca spotkanego w kraju Gergezeńczyków, ten sam, który uzdrowił wielu. Ten, o którym słyszał, iż grzechy odpuszcza; ten, który ma w swym królestwie mieszkania dla tych, którzy idą za nim.

Szli otoczeni przez żołnierzy i baty regularnie spadały na ich plecy, najczęściej bez powodu. W pewnym momencie zatrzymali się. Diszan uniósł opuszczoną głowę i zobaczył, że Jezus przystanął obok niewysokiej kobiety o dobrym spojrzeniu i zapłakanych oczach, i przez chwilę z nią rozmawiał. Ktoś powiedział:

— To jego matka.

Synowi i matce nie było dane długo cieszyć się bliskością, bo żołnierze wciąż ponaglali. Kiedy Diszan mijał matkę Jezusa, ta spojrzała na niego, a jej spojrzenie było jak wyciągnięcie matczynej ręki. Poczuł, że jest także i jego matką.

Wkrótce dotarli na miejsce kaźni. Pośród szlochów niewiast i kpin tłumu żołnierze sprawnie i szybko dokonali krzyżowania i po chwili na szczycie pagórka trzy ciała wisiały na trzech krzyżach. Rozpoczęło się najgorsze. Ból wzmagał się z każdą chwilą, czynił wysiłkiem każdy oddech, zsyłała żalność pomieszana z gniewem, odbierał jasność myślenia. Pośród tego palącego cierpienia Diszan usłyszał, jak Hotir zwraca się do Jezusa:

— Przecież jesteś mesjaszem, ratuj siebie i nas!

Hotir czuł na sobie tchnienie śmierci i bał się. Ta rozpaczliwa zuchwałość połączona z kpina miała sprowokować Jezusa do działania, ale Diszan, który lepiej od Hotira znał mistrza i pamiętał jego słowa: „proście, a będzie wam dane”, wiedział, że takim zachowaniem żaden z nich nic zyskać nie może. Zwrócił więc uwagę towarzyszowi, a po chwili, świadom, że mało czasu mu zostało, wypowiedział nową prośbę, którą od dawna nosił w sobie:

— Jezu, pamiętaj o mnie, gdy wstąpisz do swego królestwa.

Jeszcze kilka miesięcy temu zasypałby Jezusa prośbami. Dziś tylko ta jedna była ważna.

— Zaprawdę, powiadam tobie — odpowiedział mu Jezus — jeszcze dziś będziesz tam ze mną.

Wypełniło się. Nie było miejsca na rozpacz, bo nie było już powodów do

rozpaczy. Czego mógłby chcieć więcej? Miał obietnicę, która powołała w nim do życia nadzieję, nadziei tej był pewien.

A potem przyszli żołnierze i połamali im nogi. Jezus już nie żył. Diszan wiedział, że pozostała mu tylko chwila. Do ostatka zastanawiał się i nie potrafił odpowiedzieć sobie, jak to się stało, że został przyjęty do królestwa, o którym wiedział, że nie dla łajdaków jest przeznaczone. Nie wiedział — jeszcze nie wiedział — że tamte, odległe w czasie słowa, które wypowiedział na drodze pod Galileą — „pójdę za tobą, dokądkolwiek się udasz”, były jednym z najpiękniejszych wyznań miłości. Nie czuł ruchów płodowych tej miłości, ale ona rozwijała się w nim, kiedy jadł, spał i pracował. Była z nim pod upalnym niebem Judei i pośród zapleśniałych murów więzienia; prowadziła ulicami Jerozolimy i drogą na Golgotę, aż połączyła na zawsze z tym, którego umiłował.

*Joanna Pisarska*

---

### **Weronika**

Twarz Twoja  
z godziny krzyża  
przenika mnie  
i draży

otulasz mnie  
spojrzeniem  
sprzed powstania  
czasu

wzywasz  
zbolalymi wargami  
które niegdyś  
budziły gwiazdy

już wiem że  
z Twojej krwi i potu  
zrodzi się  
moja religia

### **Cyrenejczyk**

wezwałś mnie  
a ja nawet nie wiem  
czy pragnę tego zbliżenia

badam dłonią  
chropowatość belki  
szacuję nachylenie drogi

krzyż wrzyna się  
w oswojoną codzienność  
więc uciekam wzrokiem

do szachownicy pól



z okruszynami woni  
oliwnego gaju

gdy opar potu  
naszych ciał  
poraża swoją identycznością

uczysz mnie tej drogi  
w rytm kroków  
nasyconych bólem

z Tobą  
dopiero  
jestem

### **Na Drodze Krzyżowej w Czernej**

pomiędzy krzepkim Cyrenejczykiem  
a wrażliwą Weroniką  
zielona żaba

pełna poczucia winy  
i strachu  
by nie nadepnął jej  
but Piłata żołnierza pielgrzyma

nagle zaczyna padać  
i czy to Ty Jezu  
trzymasz nad moją głową  
zieloną parasolkę

Twój brązowy rękaw  
prawie ociera się o mój policzek  
a ja zastanawiam się  
czy nie powinno być odwrotnie

to chyba ja  
powinnam wytrzeć Ci twarz  
i pomóc z krzyżem

*Joanna Pisarska*

---

parasolka zaczyna przeciekać  
w kroplach  
ziarenka wiary

**W ranach Twoich**

w ranach Twoich  
przemienia się  
życie moje

krwi kroplę po kropli  
w różaniec ciężki zbieram  
za pas zatykam

stopom na odwagę  
słowom po męstwo  
oczom dla miłosierdzia

życie moje  
nasyca się  
Tobą

**Wierza w Bňrowa Cotka i niedowinnosc**

Wierza w Bňrowa Cotka  
I niedowinnosc wólkóv  
Jô lasu swňrzenie  
Razã z miedzwiadã  
Do Bňga sã mňdlã  
Ň niedowinnosc pňwszednã  
I ňdpűscë nóm naje winë

Prôwdzëwã niedowinnosc  
Przezdrzëlñã jak zdrzódlo  
Niesczapónã jak drzewiã  
Czësti niedowink  
Sadnãl mie na rãce mňtilk  
Przëczurpól sã zajãczk  
Niech mdze Królestwň Cotczy

Na Janiól Pańszi dzëcól klëwie  
Zwãczy zwňnuszk kwiôtuszk  
I niedowinno ũrodzony  
Błogñsławiony brzód  
Žëwňta Słowň w lasu  
Bňrowô Cotka kroji chlëb  
Pňwszednã niedowinnosc dôj nóm

**Płëńã bez walë zëcô**

Płëńã bez walë zëcô  
Zyb trzãse mëslë bûszné  
Ster mój złómiony  
Jak knëpel  
Swiãti mie gñni górz  
W biôtkach bez widu  
Ństól sóm miecz  
Űlubiôł jem zemiã  
Co piãkno jak gwiôzdë  
Jak perlë rozsóné rãkã Bñga  
Chñc dôka nakrëła  
Snôzotã dejowã  
Wcyg sygóm do bëna  
W ceploce rëszny  
Walë dardzi nieznóny  
Prowadzã mie wprzódk  
Ster trzimóm nowi  
Bë dobëc Smãtka  
Naj smãtny kawel

---

## Omijam zimę słowem

### Wiosna

Rozerwałam sznurek konwalii,  
przesypały pachnącym się kurzem,  
potoczyły, dźwięczące, po stole  
- z wzoru bieli lato wywróżę.

Ale teraz zielono i biało  
i powietrze aż dzwoni zapachem,  
jeszcze lata nie dostarczono,  
już o zimie myślę ze strachem,

więc nawlekam na nitkę konwalie -  
frywolitki z wieczornym jaśminem,  
utkam szal na jesienny cień deszczu  
na konwalii obłoczku odpłynę.

I wędrować będę wbrew wiatrom,  
co ku zimie z uporem mnie pchają  
będę liściem i trawą i ziołem  
letnią panną, leśną zwiewną mają

### Lato

Pogubione na łąkach zielonych  
pozrywały się tasiemki lata  
każdy jaskier to chłodu korona,  
wiotki mak to sierpniowa utrata.

Coraz mniej niebieskości nad chmurą,  
z plamką chabra ku mgłom umyka,  
płynie liści opadłych rzeką  
wodną nutą pisana muzyka.

Już w ogródkach zapowiedź jesieni

*Małgorzata Borzeszkowska*

---

na plakatach stu astrów rozpięta,  
jeszcze kwitnie z rozpędu rozchodnik,  
a na brzegu jeziornym wrze mięta,

lecz już wkrótce zasnuje nas wrzesień,  
pozaplata napotnych ziół wianki,  
w koszu lata już prawie nic nie ma,  
prócz dwóch renet i prócz macierzanki.

### **Jesień**

Kroję gruszki w cieniuteńkie plastry  
o zapachu dymnej jesieni,  
drobię płatki, skubię złote astry,  
babie lato wpycham do kieszeni.

Wbiję żółtka w szarości wieczorów,  
zmieszam z cukrem porannego mrozku,  
zlepę, dodam rum i dla koloru  
szczyptę lata w miodnym pszczelim wosku

Potem zręcznie cierpkie jabłka utrę.  
Waniliowym dymem nad ścierniskiem,  
szumem deszczu roztańczę makutrę,  
cynamonem, słodkim, szorstkim błyskiem.

W końcu w ciepłym oddechu komina  
trzy wrześniowe wypiekę godziny:  
trzy orzechy, głogi i jeżyna  
wpięte w suchy bukiet z jarzębiny.

Do druku przygotowała  
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU

Rysunki  
Daniel Reich

ISBN 978-83-60731-01-7

Wydano nakładem  
Rady Miejskiej w Lęborku  
Oddziału Wojewódzkiego  
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku  
Zarządu Głównego Zrzeszenia  
Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku  
Starostwa Powiatowego w Lęborku

Druk:  
drukarnia s.c. Kamilla i Jacek Bednarkiewicz  
Lębork, ul. Słupska 23A, tel. 0 501 40 20 44